

Redakcja
Magazynu Kulturalno – Studenckiego
MULTIS MULTUM

30–150 Kraków; ul. Armii Krajowej 4
multis@wszib.edu.pl
www.wszib.edu.pl

Redaktor Naczelna:
Aneta Fołta
folta@wszib.edu.pl

Z-ca Redaktor Naczelnej:
Magdalena Gadaj
magda@pro.onet.pl

Sekretarz redakcji
Piotr „Dziazia” Didkowski

Redaktorzy Działów:

Student
Adrian „Jaszczur” Jaszczuk

Prawdy i mity

Bartosz Banduła

Trochę kultury

Kamila Pietnica

Turystyka

Marta Radochońska

Sport

Daniel Płatek

Po godzinach

Małgorzata Rzegocka

Insideout

Ernest Kopacz

Dziennikarze:

Łukasz Gliński, Piotr Olszewski,
Barbara Szulkowska, Adrian Woźniak,
Paweł Frankiewicz

Fotografie i Grafika:

Jakub Macioł

Fotografie:

Ernest Kopacz
Adrian Woźniak

Rysunki:

Małgorzata Ptak

Skład:

Krzysztof Kamiński

Korespondencja dziennikarska:

Bartosz Franczak, Marcin Moskwa,
mgr inż. Dominika Woźny,
Krzysztof i Katarzyna Bednarscy

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów oraz opatrywania ich własnymi tytułami. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych ogłoszeń.

Więcej optymizmu



Każdemu społeczeństwu, czy też może narodowi – mniej lub bardziej trafnie - przypisywane są pewne cechy osobowości, charakteru. (Oczywiście takie uogólnianie bywa przykre dla niektórych grup społecznych, czy też jednostek, które dalece obiegają od stereotypu). I tak mówi się o niemieckiej dokładności, szwajcarskiej precyzji, o skąpstwie Szkotów, namiętności Włochów i Hiszpan, francuskich żigolakach, skandynawskiej ekologii, angielskich manierach i o polskim, nieustannym narzekaniu. Tak, niewątpliwie jest to prawdą. My, Polacy uwielbiamy uskarżać się na swój okrutny los. Powody znajdują się zawsze, choćby najbardziej trywialne. Cytuję: „Ach, idą święta, środek grudnia, a tu śniegu jak nie było, tak nie ma. Co to za zima??? Nawet mróz w nos nie szczypnie!” i tydzień później wypowiedź tej samej osoby: „Ależ nas tu zasypało! I trzeba odśnieżyć przed domem! Jakie korki na ulicach, a jak na chodnikach ślisko? Co za życie...”

No tak. Ciężkie to życie ludzie mają, ale nie zawsze należy aż tak bardzo zrzędzić. Którykolwiek Amerykanin zapytany o samopoczucie, chociażby był chory na zapalenie płuc i raka wątroby, odpowie, że oczywiście wszystko jest w porządku. Zastanawiam się nad tym, czy ktoś wpadł na to, że gdyby mniej zatruwać innych swoimi pseudo problemami, życie byłoby chyba trochę weselsze? I nie mówię tu o tym, by skrywać przed najbliższymi wielkie tajemnice dla podtrzymania korzystnej atmosfery. Nie, nie. Jak najbardziej, drodzy studenci, nie ukrywajcie przed rodzicami tego, że już wkrótce zostaną dziadkami. Wcale nie o tym mowa. Chodzi mi o to, by potrafić odnaleźć w sobie odrobinę optymizmu, jakiejś radości, którą na własne życzenie przytłaczamy zbędnymi smutkami.

Zupełnie nie dawno mój narzeczony powiedział mi, że „znów zaczynam narzekać”. No cóż, przynajmniej, że miał świętą rację. Niepotrzebnie zaczęłam się nad sobą użalać. Ale z drugiej strony, przecież czasami kiedy człowiek się już komuś wyżali, to jakby lżej mu na duszy... tak chyba czujemy My wszyscy. Jednak po przemyśleniu Jego słów doszłam do wniosku, że w takiej trudnej chwili, kiedy człowiek ma ochotę popłakać sobie trochę nad sobą, lepiej jest pomyśleć o czymś ciepłym, przyjemnym, co wywołuje uśmiech na twarzy. Może to być wspomnienie z udanych wakacji z przyjaciółmi, wspomnienie pierwszego pocałunku, jakiegoś zwariowanego wyczynu młodości, a czasami wystarczy tylko serdeczne spojrzenie na przyjaciela, przyjaciółkę, ukochaną lub ukochanego, żeby uświadomić sobie, że nie jest tak źle. Dlaczego? Bo przez świat nie podąża się samotnie, lecz w towarzystwie właśnie takich bliższych osób.

Na koniec zacytuję słowa piosenki śpiewanej przez Pawła Kukiza: „Jest taki dzień i każdy tak ma, że czasem jest źle, że jakoś nie tak...”. Drodzy Czytelnicy, w tym nowym roku życzę Wam zatem, obok zdrowia i wszelkiej pomyślności, aby takich dni było jak najmniej. Życzę Wam wiele optymizmu i radości czerpanej z obecności przyjaciół i kochanych osób. Niech Wam dopisuje szczęście w każdej dziedzinie i w miarze, a na twarzy często gości szczery uśmiech.

Pozdrawiam
Redaktor Naczelna

Aneta Fołta

Moim zdaniem	Jak odnosić sukcesy rozmawiając	5
Echo	Opłatek z nagrodami	7
Biznes	Trzeba się ich bać!	8
	To wciąga	9
	Zarządzanie relacjami z klientem	10
	Wczoraj przeczytane	11
Student	Nasze miasto	12
	Piraci na horyzoncie	14
	Co piszczy w sieci	15
Insideout	Klucz do bram lepszego świata	17
Prawdy i Mity	Smotność w sieci	19
	Pacyfizm	20
	Dlaczego boimy się „dresów”?	21
Kultura	Krwawa dama	22
	Świeże, dobre kino - gorąco polecam	23
	Książki i Muzyka	24
Turystyka	Australia - moje marzenie	25
	Rzymski odpoczynek	27
Sport	Poczuj go...	28
	Aktor drugoplanowy	29

Moim zdaniem

Jak odnosić sukcesy rozmawiając

Człowiek nie jest samotną wyspą. Ta prosta prawda wyrażona w bardziej „naukowy” sposób oznacza, że człowiek jest istotą społeczną, tzn. zawsze poddaje swoje otoczenie lub jest poddawany wpływowi, a jego zachowania pozostają w jakiejś relacji do innych.

Życie, czyli podejmowanie decyzji, w wymiarze społecznym oznacza nieustanne negocjowanie: umysł negocjuje światopogląd z rzeczywistością, ludzie rozmawiają ze sobą i wzajemnie na siebie oddziałują. Te zachowania, wobec złożoności i tempa współczesnego życia, wobec wielości bodźców, którymi jesteśmy atakowani, muszą być znacznie upraszczane do podstawowych automatycznych wzorców tak, aby były skuteczne. W poznawaniu świata często posługujemy się schematami poznawczymi, stereotypami, oddziałując na innych i podlegając oddziaływaniu również postępujemy zgodnie z kilkoma zasadniczymi mechanizmami psychologicznymi.

Jako istoty społeczne, dążące do osiągnięcia indywidualnego sukcesu jesteśmy uwikłani w relacje tak konkurencji, jak i kooperacji. Metodą skutecznego działania, skutecznego podejmowania życiowych decyzji w takich warunkach jest metoda osiągania porozumienia między zainteresowanymi stronami i znajdowania rozwiązań korzystnego dla stron. Takie osiąganie zgodności stanowisk możliwe jest dzięki negocjacom.

Zatem osiąganie zamierzonych celów uzależnione jest, oczywiście oprócz szczęśliwych zbiegów okoliczności, od naszych umiejętności negocjacyjnych oraz znajomości technik wywierania wpływu na ludzi takiej, dzięki której moglibyśmy równie skutecznie opierać się naciskom niepożądanym. Nie bez przyczyny niektórzy utożsamiają sprawności negocjacyjne z technikami manipulacji nastawionymi na osiągnięci korzyści.

Psychologia społeczna wyodrębniła i opisuje sześć podstawowych i uniwersalnych wzorców automatycznych zachowań, które programują nasze życie społeczne, i których znajomość jest w negocjacjach nieodzowna, bowiem na nich opierają się szczegółowe taktyki i narzędzia negocjacji.

Dość oczywisty wydaje się sąd, że lubimy tych, którzy są podobni do nas. Ludzie chętniej słuchają, ulegają wpływowi i przekonaniom, spełniają prośby tych, którzy konformistycznie prezentują



Prof. dr hab. inż. Włodzimierz Roszczyniński

się jako podobni do nich. Siebie wolimy postrzegać jako obdarzonych najbardziej pożądanymi przymiotami: inteligentnych, sympatycznych, atrakcyjnych. To nasze racje są z reguły najbardziej przekonujące, a poglądy polityczne najszlachetniejsze. Mierzmy świat zewnętrzny swoją miarą, dlatego ci, którzy wydają się do nas podobni, są nam bardziej bliscy i przez nas szanowani. Pierwszym sygnałem atrakcyjności jest na ogół wygląd zewnętrzny, dlatego często dobrze ubrany, przystojny człowiek postrzegany jest także jako bardziej inteligentny, miłszy i lepszy od tych gorzej się prezentujących. W tym kontekście dobrą praktyką wydaje się komplementowanie – wprowadza ono atmosferę sympatii między negocjującą stroną oraz skłania osobę skomplementowaną do ustępstw. Negocjacyjną taktyką jest również odwoływanie się do tego, co znane, oswojone. Może ono przybrać formę odwoływania się do (domniemyanych lub rzeczywistych) pozytywnych cech partnera negocjacyjnego, do znanych stronom sytuacji lub do znanych osób. Pertraktujący ze mną student niewątpliwie zwiększy swoje szanse na negocjacyjny sukces, gdy jego ubiór, zachowanie,

prezentowany przez niego system wartości będą zbliżone do moich oczekiwań – jednym słowem, gdy zastosuje tzw. techniki ingracji: konformizmu (czyli dostosowania się do negocjacyjnego partnera) i autoprezentacji.

Jeśli nie polegamy tylko na sobie i własnej skuteczności, to najpewniej skłaniamy się ku opiniom wygłaszanym przez autorytety. Poglądy legitymizowane siłą autorytetu akceptujemy jako doniosłe, niezależnie od tego, czy rzeczywiście mają taką wartość. Opinie prezentowane jako fachowe, profesjonalne, cieszące się społecznym lub zawodowym uznaniem przyjmujemy często bezdyskusyjnie. Zachęcająco działają nawet same zewnętrzne atrybuty profesjonalisty – lekarski kitel, tło w postaci naukowej biblioteczki lub oznak dobrobytu - odbieramy je jako sygnały społecznego statusu, a ich posiadaczom automatycznie przypisujemy szereg pozytywnych i preferowanych przez nas wartości. Co ciekawe, wraz podniesieniem prestiżu rośnie także wzrost autorytetów: osoby o wysokim społecznym statusie postrzegamy jako wyższe, niż są w rzeczywistości, a wzrost przecież jest jednym z atawistycznych sygnałów do-

Jak odnosić sukcesy rozmawiając c.d.

statku. W budowaniu autorytetu oprócz ubrań (a właściwie: przebrań), biżuterii, samochodów i innych zewnętrznych sygnałów dobrobytu uczestniczą także tytuły – profesora, lekarza, prezesa itp. Ulegamy magii „ekspertów” wygłaszających „szczerze” opinie i sądy. W postępowaniu studentów często przybiera to formę powoływania się na jakikolwiek autorytet naukowy, niezależnie od jego rzeczywistego związku z omawianym problemem. W bibliografiach prac licencjackich można spotkać pozycje zbędne, jakkolwiek dostatecznie uczenie brzmiące, a w samych pracach – kryptocytaty z prac naukowych. Powszechnym błędem, wynikającym ze specyficznej sytuacji studenta, sytuacji rzekomej podległości, jest przedstawianie poglądów naukowych autorytetów jako własnych. W rzeczywistości jednak bardziej cenię autentyczne opinie studenta od skopiowanych sądów cudzych. Podlegam w tym względzie technikom reaktancji, tj. powoływania się na wolność myśli i zachowań, jestem skłonny dać się przekonać dobrym argumentem negocyjacyjnego partnera.

Kolejna z reguł mówi, że automatycznie przychylamy się do poglądów reprezentowanych przez większość. Łatwiej i chętniej zaakceptujemy jakiś pogląd wiedząc, że cieszy się on już poparciem większości. Z tego powodu niektóre produkty reklamowane są jako najczęściej kupowane, cieszące się zaufaniem dużego procenta klientów, kiepskim komediom towarzyszy śmiech z puszkii, a w czasie wyborów obowiązuje „cisza wyborcza” i zakaz publikowania wyników sondaży. W podejmowaniu decyzji przez naśladowanie dużą rolę odgrywa podobieństwo – nie tylko skłaniamy się ku poglądom większości, ale dobrze, gdy ta większość podobna jest do nas. Społeczny dowód słuszności, jak nazwano ten decyzyjny mechanizm, oddziałuje ze szczególną siłą na osoby niezdecydowane, niepewne, nie wiedzące, jak się zachować w danej sytuacji czy rozwiązać dany problem. Studenci często preferują zachowania stadne, dotyczy ich zjawisko „owczego pędu”, co jest zrozumiałe ze względu na wzmiankowaną już wyżej specyfikę sytuacji edukacyjnej, niemniej bardziej skutecznymi w ich wypadku taktykami byłyby wszystkie te, które podkreślają ich indywidualność, niepowtarzalną osobowość – a więc techniki ingracji oraz techniki odyskiwania swobody przekonania i zachowań (reaktancji).

Na psychologicznej potrzebie bycia konsekwentnym opiera się jeden z najsilniejszych wzorców społecznych zachowań. Potrzeba spójności, naturalnej konsekwencji działań decyduje o wypel-

nianiu podjętych - w szczególności publicznie – zobowiązań, o kontynuowaniu działania, któremu poświęciło się już relatywnie dużo czasu i energii, a nawet o podtrzymywaniu za wszelką cenę ewidentnie błędnej decyzji, wycofanie z której oznaczałoby niekonsekwencję. Osoby niekonsekwentne postrzegane są jako niewiarygodne, niezrównoważone, a nawet psychicznie chore – dlatego tak często staramy się, aby nasze zachowania były spójne. O konsekwencji decydują stowarzyszone ze sobą psychologiczne mechanizmy konformizmu i wyparcia: bardzo często podjęcie jakiegokolwiek decyzji i postępowanie z nią konsekwentne zwalnia nas z dalszego myślenia o problemie, równie często konsekwentne postępowanie postrzegane jest jako logiczne i właściwe, co sprzyja uniknięciu postrzegania decyzji jako błędnej i omijaniu autentycznego problemu. Zaangażowanie sprawia, że bezrefleksyjne kontynuowanie jakiejś działalności wydaje się nam bardziej opłacalne od jej zaprzestania, bo przecież poświęciliśmy jej już tyle czasu, środków, energii... Regułą konsekwencji wykorzystuje bardzo popularna negocyjacyjna technika „stopy w drzwiach” polegająca na przekonaniu partnera do mało ważnej kwestii po to, aby następnie skłaniać go do kolejnych, wynikających z poprzedniej decyzji. Właściwie nie powinienem tego podpowiadać negocjującym ze mną studentom, ale równie znakomicie działają oparte na tym samym prawie technika „próbego balonu” czyli niewinnego sprawdzania na jak daleko posunięte ustępstwa negocjujący partner się zgodzi czy techniki „oskubywania” i „niskiej piłki”, polegające na konsekwentnym wymuszaniu dalszych ustępstw na tym, który już na jakieś niewielkie ustępstwo się zgodził. Zainteresowanych odsyłam do literatury fachowej, tj. do książki Roberta B. Cialdiniego Wywieranie wpływu na ludzi.

Wiele technik negocyjacyjnych bazuje na znanym mechanizmie do ut des - „daję, abys dał”. Reguła wzajemności wykorzystuje psychologiczny nawyk rewanżowania się za to, co otrzymujemy, choć praktyka pokazuje, że często wartość naszego rewanżu znacznie przekracza wartość cudzej inwestycji w nas. Nawyk ten jest bardzo mocno wbudowany, zarówno dlatego, że odpowiada za biologiczne przetrwanie społeczności ludzkich, jak i dlatego, że utrwalany jest w procesie wychowania m.in. w postaci braku akceptacji dla osób skąpych i niewdzięcznych. A właśnie wdzięczność i poczucie zobowiązania (niekiedy także poczucie winy) są podstawą reguły wzajemności. Do zaciągnięcia takiego, najczęściej niechcianego, zobowiązania skłania-

ją nas negocjatorzy wyszkoleni w technikach oferowania „darmowych próbek” oraz „promocyjnych ofert”, za które w konsekwencji i tak musimy zapłacić, a także biegli w takich taktykach osiągnięcia kompromisu, jak technika wzajemnych ustępstw lub technika „drzwiami w twarz”. Te ostatnie polegają na odstępowaniu od początkowej absurdalnie niemożliwej propozycji na rzecz możliwej do zaakceptowania, która wydaje się nam własnym sukcesem negocyjacyjnym, a w rzeczywistości jest tym, co negocjatorzy od początku zamierzali osiągnąć. Negocyjacyjny sukces polega tu na tym, że ustępstwa tylko dla jednej ze stron są prawdziwe - dla drugiej zaś pozorne.

Często jest też tak, że najbardziej pragniemy tego, co jest najtrudniej osiągalne lub wręcz niedostępne. Ekskluzywność, wyjątkowość, wysoka cena skłaniają nas do pożądania tego czegoś. Niedostępność dóbr wywołuje psychologiczny opór i potrzebę odzyskania kontroli nad biegiem rzeczy, choć w rzeczywistości decyzje podejmowane w tak opresyjnych warunkach są z reguły pochopne. Pragnienie posiadania trudno osiągalnego dobra dodatkowo podsyca jest wytworzoną w warunkach niedostępności bądź ograniczonego dostępu rywalizacją oraz bardzo ludzką potrzebą utrzymania zagrożonej niezależności, wolności wyboru, możliwości działania.

Na wywieraniu psychicznej presji i ograniczaniu możliwości reakcji negocyjacyjnego partnera opierają się takie narzędzia negocjacji, jak atak personalny i spokrewniona z nim technika przeszkadzania, obie zmierzające do zbitcia z tropu jednej z negocjujących stron Podobnie działa technika wzbudzania poczucia winy, mająca zmanipulować partnera do podjęcia określonych decyzji – chętnie wykorzystywana przez studentów pod postacią relacji o tragicznych wypadkach losowych. Działając w parze można stosować technikę „dobrego i złego gliniarza” – negocjować tak, aby postawa „złego gliny” zachęciła do akceptacji propozycji miękko negocjującego „dobrego polijanta”. Tych narzędzi negocyjacyjnych jednak nie polecam, atmosfera, którą udało się wspólnym wysiłkiem studentów i kadry w Wyższej Szkole Zarządzania i Bankowości wytworzyć sprzyja wzajemnej akceptacji, poszanowaniu drugiego człowieka, a nie wrogości i presji.

Mam nadzieję, że kolejny, 2004 rok upłynie nam pod znakiem tych pozytywnych wartości.

*Prof. dr hab. inż.
Włodzimierz Roszczyński*

Opłatek z nagrodami

Kilka dni przed przerwą świąteczną w Wyższej Szkole Zarządzania i bankowości w Krakowie odbyła się wigilia, w której oprócz studentów i pracowników Uczelni uczestniczyły także dzieci z domu dziecka.

Ceremonia rozpoczęła się od przemówienia JM Rektora i wręczenia wyróżnienia przyznanego prof. dr hab. Wandzie Sułkowskiej przez Ministra



Prof. Wanda Sułkowska odbiera odznaczenie.

Edukacji Narodowej i Sportu. Następnie nagrody otrzymali studenci Wyższej Szkoły Zarządzania i Bankowości w Krakowie, wśród których znalazło się 2 wybitnych studentów informatyki. Otrzymali oni nagrody za szczególne osiągnięcia w nauce, nie tylko w zwykłym trybie studiów, lecz także jako studenci Akademii CISCO. Słuchacze Wydziału Ekonomii otrzymali natomiast nagrody przyznawane przez Fundację Edukacji Przedsiębiorczości. Na tym jednak nie koniec nagród. Kolejne dostały osoby czynnie promujące naszą uczelnię. Każdy student Wyższej Szkoły Zarządzania i Bankowości w Krakowie

może otrzymać taką nagrodę na przyszłoroczną wigilię. W jaki sposób? Wystarczy, że zarekomenduje swoją uczelnię naszym

przyszłym studentom. Im więcej studentów zgłosi się do biura rekrutacyjnego z rekomendacją od danej osoby, tym wyższa nagroda.

Gdy już wszystkie nagrody zostały wręczone rozpoczęła się licytacja małych arcydzieł sztuki, wykonanych przez dzieci z domu dziecka, który wspomaga Wyższa Szkoła Zarządzania i Bankowości w Krakowie. Licytować można było ręcznie malowane choinkowe bombki, obrazy i czy specjalnie malowane szklane butelki. Początkowo trochę nieśmiała, z kolejnymi sprzedanymi przedmiotami aukcja nabierała rumieńców. Licytacja była coraz bardziej zaciekle, a kwoty coraz



Właśnie powstaje bombka JM Rektora.

wyższe. Rekordowa kwota to ponad 200 zł. W sumie udało się zebrać ponad 2000 złotych. Pieniądze zostały przekazane na ręce pani dyrektora domu dziecka, która wraz z kilkoma pociechami była obecna na naszej wigilii. Dzieci dostały również drobne upominki, które wręczył Rektor Wyższej Szkoły Zarządzania i Bankowo-

ści w Krakowie prof. dr hab. inż. Włodzimierz Roszczyński.

Po atrakcjach związanych z emo-



Kancelarz WSZiB pochłonięty pracą.

cjami licytacji nastąpił najważniejszy moment ceremonii - łamanie opłatkiem. Wszyscy nawzajem składali sobie życzenia, płynące z dobroci serca. Wesołych i spokojnych świąt życzyli sobie nawzajem nie tylko studenci, ale również wykładowcy i pracownicy administracji. Była to bardzo ciepła chwila, w prawdziwie rodzinnej atmosferze.

Mamy nadzieję, że takie przedświąteczne spotkania opłatkowe staną się naszą uczelnianą tradycją i w przyszłych latach będą skupiać jeszcze więcej osób. Tego typu ceremonie wyróżniają Wyższą Szkołę Zarządzania i Bankowości w Krako-

wie na tle innych i umacniają naszą wspólnotę uczelnianą. Są potwierdzeniem przyjaznej atmosfery, jaka panuje w naszych murach. Przez to jesteśmy nie tylko instytucją dającą wykształcenie, ale także miejscem, gdzie czujemy się jak ktoś indywidualny, kogo traktuje się, jak członka wielkiej rodziny.



Beata Dużyk częstuje opłatkiem

Trzeba się ich bać!

Od 6 lat studenci Wyższej Szkoły Zarządzania i Bankowości w Krakowie biorą udział w międzynarodowej rozgrywce The Global Marketplace Competition Business Simulation Game. Nigdy dotąd żadnemu z nich nie udało się osiągnąć tak niebotycznego wyniku, jaki uzyskali Bartłomiej Franczak (Zespół Gondor), Michał Brodziński i Maciej Morys (Zespół Rohan). Podczas międzynarodowej rozgrywki Gondor zdobył tytuł Grand Market Master – I miejsce, natomiast Rohan – Market Master - miejsce II. Aż strach pomyśleć co będzie, kiedy otworzą własne przedsiębiorstwo na rynku polskim. Uwaga potencjaci, trzeba się ich bać!

Aneta Fołta: W jaki sposób rozpoczęła się Wasza „przygoda” z Marketplace?

Maciej Morys: Tak naprawdę to podczas obowiązkowych zajęć z Metod Organizacji i Zarządzania, na których mieliśmy okazję poznać starszą wersję tej gry, która pomimo trochę archaicznego wyglądu i sposobu działania bardzo nas zainteresowała.

A.F.: Jak wyglądają podstawowe zasady gry?

Michał Brodziński: Gra polega na założeniu i prowadzeniu firmy działającej w branży komputerowej, przez okres wirtualnych dwóch lat (co odpowiada 8 kwartałom). Przez pierwsze 4 kwartały inwestorzy strategiczni dotują firmę aby pomóc w jej rozwoju. Po tym okresie firma zaczyna działać samodzielnie dążąc do wypracowania najlepszej pozycji na rynku. Decyzje podejmowane są kwartalnie

A.F.: Czy ktokolwiek pomagał Wam podczas gry, służył wskazówkami etc.?

M.M.: Bardzo rzadko korzystaliśmy z pomocy naszego instruktora. Przystępowaliśmy do tej rozgrywki po raz drugi i sami chcieliśmy sprawdzić nasze umiejętności w prowadzeniu firmy bez jakiegokolwiek pomocy.

A.F.: Jak dużo czasu poświęcaliście na grę?

M.B.: Okres na podjęcie decyzji między kwartałami wynosi 7 dni. Przeważnie spędzaliśmy 3 ostatnie dni w tygodniu po kilkanaście godzin. Był to wystar-

czający czas na przeanalizowanie decyzji podjętych w poprzednim kwartale oraz na ich podstawie skorygowania naszego dalszego planu działania

A.F.: Wasze najlepsze posunięcie to...

M.B.: Wydaje nam się, iż było to idealne trafienie w popyt i potrzeby klientów w ostatnim, najważniejszym kwartale rozgrywki. Pozwoliło nam to osiągnąć zysk prawie 3 razy większy od naszego najgroźniejszego konkurenta w rozgrywce.

A.F.: To, może teraz z drugiej strony, co było największym błędem?

M.M.: Błąd w projektowaniu reklamy w 8 kwartale kosztował nas stratę 40% wypracowanego dochodu, co spowodowało spadek naszej firmy na drugą pozycję.

A.F.: Jak liczne mogą być zespoły biorące udział w grze? Wiem, że zespół, który Was minimalnie pokonał był jednoosobowy. Jak uważacie, czy łatwiej jest grać w zespole kilkuosobowym, czy może w pojedynkę???

M.B.: W grze mogą brać udział zespoły maksymalnie 6 osobowe. Naszym zdaniem najlepiej jednak sprawdza się team dwu osobowy. Dlaczego? Bo łatwiej jest się porozumieć działając w dwójkę – przecież naszym zadaniem jest podejmowanie trudnych decyzji inwestycyjnych czy promocyjnych, często ryzykownych. W takich wypadkach różnice zdań zdarzają się bardzo często, a im więcej osób tym trudniej o consensus.

A.F.: Jaki był najbardziej ekscytujący moment w całej grze?

M.M.: Oczywiście najbardziej ekscytującą była ostatnia rozgrywka, w której walczyliśmy na rynku z najlepszymi na świecie. Jeśli chodzi o najbardziej nerwowy dzień podczas całej rozgrywki było to oczekiwanie na potwierdzenie ostatecznych wyników. Rezultaty ostatniego kwartału potwierdziły naszą przewagę nad wszystkimi konkurentami jednak do instruktorów w USA dotarła skarga innych uczestników dotycząca na-

szej reklamy co spowodowało zmianę ostatecznych wyników i spadek naszej firmy na drugą pozycję.

A.F.: Jakie błędy popełniane przez konkurentów zauważyliście?

M.B.: Konkurenci popełniali dużo błędów np. nie trafiali w popyt, źle ustalali ceny produktów, tworzyli słabo skuteczne reklamy oraz przeznaczali zbyt mało środków na rozwój własnych firm przez co zostawali w tyle. No ale my też niestety nie ustrzeżliśmy się błędu. Jak w prawdziwym biznesie wygrywa ten kto popełnia ich najmniej.

A.F.: Czy zostaliście solidnie przygotowani do uczestnictwa w grze? Czy wiedza zdobyta na WSZiB okazała się być pożyteczna?

M.M.: Uważamy, że tak gdyż bez odpowiedniej wiedzy na pewno nie zaszlibyśmy tak daleko, gdyż Marketplace jest narzędziem do mądrego i praktycznego wykorzystania zdobytej wiedzy teoretycznej

A.F.: Marketplace nie jest jedynym konkursem, w którym braliście udział. Czy dziedziny konkursów zająłaby się?

M.B.: Wiedza zdobyta podczas edukacji na uczelni oraz spotkań przygotowawczych do konkursu Przedsiębiorczości i Zarządzania pozwoliła nam zająć V miejsce w Polsce. Te doświadczenia także w jakiejś mierze pomogły nam w osiągnięciu tak znakomitego wyniku w Marketplace.

A.F.: I na koniec, pytanie interesujące zapewne wszystkich czytelników, co wam dał udział w tej symulacji

M.M.: Z jednej strony udział w grze był dla nas fantastyczną zabawą. Przez okres 2 miesięcy, nauczył nas pracować zespołowo, oraz pokazał jak działać na rynku pośród konkurencji. Dał możliwość zmierzenia się z najlepszymi na świecie. Cały program ma tę zaletę, że podczas rozgrywki pokazuje różnicę pomiędzy teorią a praktyczną wiedzą. Czujemy się teraz silniejsi w praktyce. Po tych dwóch edycjach Marketplace dużo łatwiej byłoby nam rozpocząć pracę w dużej firmie. Jesteśmy przekonani że po skończeniu studiów, gdy zaczniemy ubiegać się o pracę w naszych CV informacja o naszych wynikach uzyskiwanych w rozgrywkach Marketplace, tylko pomoże nam w zdobyciu fajnej posady. Dlatego szczerze zachęcamy innych studentów aby także próbowali sił w tych rozgrywkach. Jest tam wszystko: zabawa, emocje, radość i naprawdę dużo satysfakcji.

Opracowała Aneta Fołta



lic. Maciej Morys.



Michał Brodziński

Biznes

To wciąga

Co Marketplace sądzi Bartek Franczak, zdobywca I miejsca – GRAND MARKET MASTER - w The Global Marketplace Competition Business Simulation, który pokonał zespoły m.in. z USA i Indii.

Marketplace to bardzo ciekawe narzędzie wykorzystywane coraz częściej w programach kursów, szkół i uczelni o profilu biznesowym na całym świecie - choć ze względu na lokalizację, najbardziej spopularyzowane w USA. Marketplace w dużej części wykorzystuje wiedzę zebraną w czasie kilku lat nauki, ale przede wszystkim jest to model symulacyjny: jego zadaniem jest nauczenie podejmowania decyzji, niemal natychmiast pokazując efekty działań. A ponieważ gra podzielona jest na 8 lub 12 kwartałów, analizując wyniki z poprzednich okresów, można wyciągnąć wnioski, które pomogą przygotować strategię. Strategię, która pozwoli zająć firmie kolejną część rynku.

Bardzo ważne jest, że wyniki każdego kwartału nie są dziełem przypadku - każda liczba to efekt decyzji podjętych przez uczestników gry.

Informacja kluczem do sukcesu

Podczas gry można komunikować się ze wszystkimi pozostałymi uczestnikami. Każdemu można zadać pytanie, czy zaproponować jakąś transakcję - nawet jeśli nie dobija się targu, to można uzyskać informację, która pozwoli opracować lepszą strategię na kolejny okres. Poza tym, to kolejny sposób do nawiązania znajomości z ludźmi z całego świata - a to zawsze ciekawe doświadczenie. Oczywiście można też odpuścić komunikację z innymi - ale wygląda to na prostą drogę do porażki.

Gra uczy pracy w zespole

W poprzedniej edycji grałem w trzyosobowym zespole - Marketplace to świetny sposób, by zrozumieć, że praca w zespole jest znacznie przyjemniejsza, a co ważniejsze - bardziej efektywna, niż samodzielne działanie. Nawet mały zespół trzech, czy choćby dwóch osób to już kilka różnych spojrzeń na ten sam problem. Nawet jeśli postrzega się własną osobę jako nieomylną, to konieczność przekonania partnerów do konkretnej myśli, czy decyzji, zmusza do zastanowienia się, czy proponowane rozwiązanie

faktycznie jest najlepsze... a może jednak ktoś inny będzie miał lepszy pomysł?

Marketplace pozwala uczestnikom doskonalić formy współpracy w grupie z jednej strony i zastanowić się nad sposobami rozwiązywania konfliktów w procesie podejmowania decyzji, z drugiej.

Innowacyjność

Marketplace pokazuje, że innowacyjność jest kluczem do sukcesu. Niemal każda decyzja może zostać powtórzona, kiedy tylko wyniki kolejnego kwartału zostaną rozesłane do konkurentów.



Bartłomiej Franczak - Laureat I nagrody

Dzięki temu nie można „spocząć na laurach” - nawet jeśli wygrywa się w jednym kwartale, to jednak ważne jest, by w kolejnym równie sumiennie przeanalizować sytuację. Jeśli się tego nie zrobi, można być pewnym, że zrobi to konkurencja. Dosłownie skopiuje najlepsze pomysły, nieco je nawet poprawi i chętnie zajmie miejsce lidera.

Dzięki temu można szybko zrozumieć, że firma musi przez cały czas się rozwijać, wdrażać nowe produkty, realizować nowe pomysły - w przeciwnym razie szybko straci dominującą pozycję.

Moje wrażenia

Miałem okazję dwukrotnie brać udział w internetowej wersji Marketplace. Tutaj serdeczne podziękowania dla Rektora Wyższej Szkoły Zarządzania

i Bankowości w Krakowie, prof. dr hab. inż. Włodzimierza Roszczynialskiego, dzięki któremu było to możliwe, a także dla Mariana Kapuścińskiego, który naszej grze poświęcił sporo prywatnego czasu i udzielił wielu cennych rad.

Pierwsza rozgrywka była raczej nauką o tym, „jak to wszystko działa” - uwaga była skupiona głównie na zrozumieniu zasad i prawideł rządzących tą grą (tym bardziej że na zajęciach V semestru używaliśmy dosyć „wiekowej” wersji dla DOS, gdzie wszystkie wyniki były przedstawiane za pomocą liczb. Wersja internetowa jest natomiast znacznie bardziej przyjazna: tabelki, wykresy, zestawienia... ta sama gra, ale obsługa znacznie przyjemniejsza). Poza tym wielu opcji nie znaleźliśmy z poprzedniej wersji.

W czasie drugiej rozgrywki (The Global Marketplace Competition Business Simulation) całą uwagę była poświęcić przygotowaniu optymalnej strategii i ewentualnym korektom w kolejnych kwartałach. Organizatorzy dodali dwie lub trzy opcje (przeliczanie walut, cła ochronne na poszczególne rynki), ale poza tymi szczegółami wszystko pozostało bez zmian.

Mam nadzieję, że w pracy zawodowej przydadzą mi się doświadczenia wyniesione z Marketplace. Gra bardzo wciąga, po kilku kwartałach można się złapać na tym, że nagle siada się przy komputerze, żeby sprawdzić, czy pomysł który właśnie przyszedł do głowy da się wprowadzić w życie. Dlatego zachęcam wszystkich do udziału w kolejnych edycjach gry. O ile wiem, nasza uczelnia planuje uruchomienie polskiej wersji internetowej Marketplace. Warto z tego skorzystać - takie doświadczenia procentują jeszcze przez długi okres czasu. Marketplace jest istotnym punktem wielu programów studiów MBA w USA - to chyba najlepszy dowód, że udział w rozgrywce nie będzie czasem straconym.

Bartłomiej Franczak

Zarządzanie relacjami z klientami

W obecnych czasach, w warunkach wysokiego nasycenia rynku oraz intensywnej konkurencji, osiągnięcie trwałego sukcesu przez przedsiębiorstwo staje się coraz trudniejszym zadaniem. Jak sugeruje wielu praktyków i teoretyków z zakresu marketingu, upowszechnia się pogląd, że naczelną zasadą powinno stać się budowanie wzajemnie korzystnych relacji i długookresowych więzi z indywidualnie traktowanymi klientami.

Kreowanie takich powiązań jest możliwe dzięki posiadaniu przez przedsiębiorstwo dokładnych informacji o swych klientach. W związku z tym, współczesne przedsiębiorstwo staje wobec konieczności przykładania większej wagi do gromadzenia informacji na temat cech, preferencji, zachowań konsumentów czy segmentów na rynku.

Kluczowym zagadnieniem związanym z kształtowaniem partnerskich, długookresowych powiązań klienta z firmą jest posiadanie dokładnych informacji o nim (m.in. historia zawartych z nim kontraktów, jego preferencje, opis dotychczasowych kontaktów), co wiąże się ze stworzeniem odpowiedniej komputerowej bazy danych. Proces gromadzenia informacji o wszystkich kontaktach z klientem i wykorzystania ich do stworzenia wiedzy, by zbudować mocniejsze z nim związki nosi nazwę Customer Relationship Management¹ (CRM). Jest to jedna z najnowszych strategii prokonsumentycznych, która koncentruje się na wykształceniu partnerskich stosunków z klientem. CRM jest całościową koncepcją zarządzania relacjami z klientem.

System CRM wspiera działania na styku firma-klient, koncentrując uwagę przedsiębiorstwa na sposobach zwiększania zysku poprzez poprawę efektywności sprzedaży, poprawę obsługi i kontaktu z klientem, a w konsekwencji na budowaniu i utrzymaniu silnych relacji z nim. Sprawne działanie przedsiębiorstwa, niezależnie od jego wielkości, zależy od właściwego zarządzania informacją. Udostępnianie potrzebnych informacji odpowiednim pracownikom firmy w odpowiednim czasie pozwala we właściwym momencie dotrzeć z informacją do klienta. Ludzie bezpośrednio związani ze sprzedażą dostają narzędzie do zarządzania kontaktami z klientami, analizowania swojej działalności, automatyzowania

wielu czasochłonnych czynności (przygotowywania oferty, raportowania). W przypadku marketingu, dotyczy to dostarczania wszelkiego rodzaju informacji o firmie i jej produktach do klientów (reklamy, e-mail'e), zbierania informacji o rynku (potencjale, zadowoleniu klientów, konkurencji), wewnętrznego udostępniania informacji o produktach, metodach prezentowania, badaniach rynku.

W literaturze przedmiotu wielu autorów podejmuje próbę definicji pojęcia Customer Relationship Management. Według A. Widerszpila, CRM stanowi kompendium wiedzy o kliencie firmy, produktach, preferencjach i sprzedaży. K. Storbacka i J.R. Lehtinen, pod pojęciem CRM rozumieją wzajemne dostosowanie do siebie czynności firmy i klienta, mające na celu zbudowanie trwałego, partnerskiego związku firma-klient. Według M. Zachary, CRM to taki sposób prowadzenia biznesu, w którym klient, jego oczekiwania i potrzeby są w centrum zainteresowania całej firmy, wszystkich jej pracowników. Jak zauważa M. Warwas, coraz częściej CRM jest rozumiany jako kilka aplikacji, zintegrowanych ze sobą, obsługujących wszystkie kanały dystrybucji (zarówno te tradycyjne, jak np. sieć przedstawicieli handlowych, jak i nowoczesne, np. call center, sklepy internetowe, e-mail'e itp.), posiadających jedną, wspólną dla całej firmy bazę danych o klientach, wyrobach, usługach (na podstawie której można generować potrzebne raporty). Bardzo ważnym aspektem tak rozumianego CRM jest jego ścisła integracja z innymi aplikacjami, gdzie są przechowywane ważne informacje (finansowo-księgowymi, produkcyjnymi, magazynowymi itp.). Elementami uzupełniającymi taki system często są:

- system archiwizacji dokumentów – pozwala na przechowywanie w postaci elektronicznej wszystkich dokumentów,

- system automatycznego koprobowania i wysyłania korespondencji seryjnej – może on na podstawie informacji uzyskiwanych z CRM całkowicie zautomatyzować proces wysyłania życzeń, informacji o produktach, promocjach, terminach serwisowych itp.,

- system monitorowania i optymalizacji tras – pozwala na dostarczanie klientom aktualnych informacji o ich łądunkach, przesyłkach, optymalizowaniu tras dostawy towarów.

Również A. Mazur, D. Mazur, K. Jaworska definiują CRM jako pewną organizację działań realizowaną przez odpowiednie stanowiska i jednostki organizacyjne przedsiębiorstwa oraz środki techniczne i oprogramowanie, a także jako pewien sposób budowania strategii marketingowych w oparciu o badania zadowolenia, zaufania i lojalności klientów. Autorzy ci zauważają, że przedsiębiorstwo funkcjonujące według zasad CRM opiera się na zdobywaniu i właściwym wykorzystaniu wiedzy o klientach. Stwierdzają oni, że CRM jest koncepcją organizacji, która zakłada, że związki z klientem są motorem działania firmy. Taki związek powinien być korzystny dla obu stron, co sprawia, że przewaga firmy nad konkurencją nie zależy tylko od ceny produktów, lecz całego procesu związku z klientem dającego wartość dla firmy.

CRM jest również terminem informatycznym, odnoszącym się do oprogramowania pozwalającego prowadzić firmie interakcje z klientami w sposób zorganizowany. Dzięki tej technologii wszyscy pracownicy firmy (zarząd, sprzedawcy, serwisanci) mają dostęp do informacji na temat dotychczasowych zachowań klienta, jego zakupów, preferencji, wymagań, cech.

Biorąc pod uwagę próby definicji pojęcia przytaczane w literaturze przedmiotu, CRM można określić jako

odmianę strategii marketingowej, której celem jest wykształcenie jak najbardziej osobistych relacji z klientem. Relacje te kształtowane są przez wykorzystywanie sukcesywnie zdobywanej wiedzy o cechach, zwyczajach, preferencjach i upodobaniach każdego klienta. Uzyskane z obserwacji oraz na podstawie osobistych rozmów z klientem informacje, gromadzone są w specjalnie do tego tworzonych komputerowych bazach danych. Specjalistyczne programy umożliwiają ich opracowanie i wykorzystanie w każdym momencie działalności firmy. Innymi słowy CRM jest koncepcją zarządzania przedsiębiorstwem, opartą na doskonałej znajomości klientów i dostosowaniu działań firmy i produktów do ich potrzeb (programy lojalnościowe i konsumenckie, kluby dla wiernych odbiorców itp.). Filozofia ta wychodzi z założenia, że najlepszy klient to klient lojalny.

Reasumując dotychczasowe rozważania, można stwierdzić, że najważniejszym celem i zarazem funkcją prezentowanego systemu CRM jest wzajemne dostosowanie do siebie czynności firmy i klienta, mające na celu zbudowanie trwałego, partnerskiego związku firma-klient, opartego na wykorzystaniu zgromadzonych informacji w specjalnie do tego tworzonych komputerowych bazach danych.

mgr inż. Dominika Woźny

LITERATURA:

Dudzińska-Korczak N., Gwiazda E., System Customer Relationship Management – doświadczenia polskich operatorów sieci komórkowych, „Przeгляд Organizacji” 2/2002

Frączek K., CRM – Wielki Brat?, „Business Sales”, marzec 2000

Mazur A., Mazur D., Jaworska K., CRM. Zarządzanie Kontaktami z Klientami, MADAR Sp. z o.o., Zabrze 2001

Storbacka K., Lehtinen J.R., Sztuka budowania trwałych związków z klientami. Customer Relationship Management, Dom Wydawniczy ABC, Kraków 2001

Warwas M., CRM – o co tu chodzi?, „Modern Marketing”, styczeń 2000

Widerszpil A., CRM bliżej klienta, „Gazeta Prawna” 2001, nr 75

Zachara M., CRM i nowoczesny marketing, „Modern Marketing”, marzec 2000

¹ W języku polskim pojęcie „Customer Relationship Management” tłumaczone jest jako „zarządzanie relacjami z klientami”.



Prof. Jerzy Woźnicki - szef zespołu prezydenta RP do opracowania projektu ustawy o szkolnictwie wyższym

„...(Projekt przynosi studentom) - Wszystko, co przyjęli europejscy ministrowie edukacji w ramach tzw. procesu bolońskiego. Najpierw trzeba będzie uzyskać licencjat, a dopiero potem robić magisterium. Wprowadzamy też system przenoszenia osiągnięć studenta na różnych uczelniach oparty na europejskim systemie punktów kredytowych (tzw. ECTS, który umożliwia porównywanie osiągnięć na różnych uczelniach). Będzie także suplement do dyplomu (np. po polsku i angielsku), czyli dokładny opis studiów, programu zajęć, dodatkowe osiągnięcia studenta. Suplement ma być informacją zrozumiałą dla pracodawcy w każdym zakątku Europy, dużo szerszą niż dyplom.

- Dlaczego trzeba obowiązkowo „łamać studia” - najpierw obronić licencjat, a potem iść na studia magisterskie? Czemu rezygnować z pięcioletnich studiów?

- Z kilku powodów. Jednolite studia pięcioletnie to dobry pomysł wtedy, gdy studiowanie jest elitarne, a studenci to wąska, starannie selekcjonowana grupa. Wtedy mamy garstkę dobrze wyedukowanych specjalistów. Tak było w przeszłości, gdy miejsc na uczelniach było niewiele, a oświadczenie III Rzeczypospolitej. Kandydaci na studia i studenci to ogromna rzesza ludzi o różnym stopniu przygotowania oraz różnych zainteresowaniach i zdolnościach. Nie wszyscy mogą być magistrami. Niektórzy nie są w stanie skończyć takich studiów z braku zdolności, czy ambicji albo uwarunkowań życiowych. Jeśli będziemy ich zmuszać do jednego rodzaju dyplomu i masowo wypuszczać magistrów, tytuł ten straci renomę, także międzynarodową. Poza tym rynek pracy potrzebuje nie tylko magistrów. Dyplom pośredni sprzyja też większej mobilności studentów. Mogą oni uzyskiwać licencjat na jednym kierunku, a magisterium zdobywać na innym, czyli poszerzą swą wiedzę. Poza tym nie muszą tego robić od razu i w tej samej uczelni. Mogą pójść do pracy, skupić się na innych celach, a po jakimś czasie wrócić na uczelnię, żeby zdobyć tytuł magistra...”

Gazeta Wyborcza, 23.12.2003

Z nieukrywanym zdumieniem, ale i radością przeczytałem powyższy wywiad profesora Jerzego Woźnickiego. Po raz pierwszy w polskiej prasie ukazał się tekst, który w pełni odzwierciedla stanowisko naszej uczelni na temat kształcenia młodych ludzi w naszym kraju. Okazuje się, że dyrektywy Unii Europejskiej oraz idee procesu bolońskiego propagowane od kilku lat przez Wyższą Szkołę Zarządzania i Bankowości w Krakowie znalazły w końcu sprzymierzeńca w opiniotwórczych kręgach władzy RP. Trwało to bardzo długo, ale jak mówi przysłowie: lepiej późno niż wcale. Teraz tylko należy mieć nadzieję, że dla dobra polskiego studenta z tą opinią zgodzą się także inni legislatorzy pracujący nad projektem ustawy o szkolnictwie wyższym.

Marcin Moskwa

Student

Śladami minionych epok, czyli
podróże (nie tylko) w czasie i przestrzeni

Nasze miasto

Pośród licznych zabytkowych krakowskich szlaków, można wyróżnić ten jeden chyba naj-
sławniejszy, z największą liczbą zabytków. Jest to Droga Królewska, czyli trakt, którym królowie
Polski rozpoczęli swe panowanie, jak i również kończyli swój ziemski żywot. Jest to trasa histo-
ryczna i jednocześnie mistyczna...

Najważniejszym i najistotniej-
szym pod względem historycznym szla-
kiem turystycznym w Krakowie jest wła-
śnie Droga Królewska. To tu znajdują się
najważniejsze zabytki naszego pięknego
Krakowa: kościoły, place, pomniki, sław-
ne kamienice, oraz ulice pełne gwaru i ki-
piące kulturą miejsca spotkań artystów
i bardów. To wszystko składa się na wyjąt-
kowość i unikalność naszego tysiącletnie-
go grodu.

Start

Trakt królewski zaczyna się na
Placu Jana Matejki, tuż przy Pomniku
Grunwaldzkim i jednocześnie symbolicz-
nym grobie nieznanego żołnierza. Na
uwagę zasługuje jednak kościół, znajdu-
jący się nieco na uboczu, czyli kościół Św.
Floriana. Świątynia jest związana z osobą
księcia Kazimierza Sprawiedliwego
i sprowadzeniem relikwii Świętego do
polski w roku 1184. Wtedy to, gdy szcząt-
ki Św. Floriana dotarły do bram miasta,
stały się tak ciężkie, że nikt nie poradził
sobie z ich transportem, a książe zdecy-
dował, że właśnie w tym miejscu wybudu-
je kościół. Jeśli któryś z królów polskich
zmarł poza Krakowem, jego ciało w kon-
dukcie żałobnym przewożono do Katedry
Wawelskiej, jednak przed tym, królews-
kie prochy składano „u Floriana”. Zu-

pełnie podobnie było, gdy nowy król
przyjeżdżał na koronację do miasta.
Kondukt, tym razem radosny i rozśpie-
wany, wyruszał spod kościoła Św. Flo-
riana, by po kilku chwilach dotrzeć na
Wawel, gdzie dobywała się ceremonia
koronacji monarchy. Kościół, tak
skromny w swojej istocie, niszczony
i przebudowywany niemal siedem razy,
dał nazwę najświetniejszej ulicy Krako-
wa – ul. Floriańskiej wraz z wspaniałą
bramą obronną – bramą Floriańską.
Tuż przed bramą natkniemy się na Bar-
bakan, czyli fortyfikację, która niegdyś
była połączona z miastem. Pozostały
również renesansowy Arsenal oraz
baszty: Cieśli, Stolarzy, Powroźników
oraz Pasamoników, połączone w mur
fortyfikacji, okalających niegdyś serce
Krakowa.

Przez Floriańską do Rynku

Licząca kilkaset metrów ulica
Floriańska, która biegnie do samego ser-
ca miasta, od zawsze nosiła tę nazwę. Już
w dokumentach lokacyjnych miasta
z 1257 roku, jej kształt został zarysowany
i przetrwał do dzisiaj w zasadzie bez
zmian. Powstałe tu gotyckie kamienice
z biegiem czasu przybierały nowy kształt,
najpierw renesansowy, barokowy, a póź-
niej klasycyzy. Wiele nowych faktów
i szczegółów przyniosły pro-
wadzone tu prace archeo-
logiczno - konserwatorskie.
Dzięki pomocy i pracy kra-
kowskich konserwatorów,
możemy ciągle na nowo odk-
rywać piękno zabytkowych
budowli, które wciąż kryją
wiele tajemnic.

Idąc ulicą Floriań-
ską w stronę Rynku mijamy
po drodze wiele szczegó-
lnych dla Krakowa i jego
mieszkańców miejsc. Wymie-
niemy choćby kamienicę
nr 45, czyli sławną Jamę Mi-
chalikowa, która w była sie-



Brama Floriańska

Fot. Ernest Kopacz

dzibą kabaretu Zielony Balonik, a na-
stępnie kontynuując literackie tradycje
stała się od 1960 roku miejscem spotkań
trupy Jama Michalikowa. Barokowy dom
nr 41 to rodzinny dom Jana Matejki,
miejsce gdzie malarz tworzył swoje naj-
większe dzieła, dziś funkcjonuje jako mu-
zeum. Mijając te niezwykle pomniki hi-
storii, dochodzimy powoli do Rynku,
a naszym oczom ukazuje się monumen-
talna sylwetka Kościoła Mariackiego.

W sercu grodu Kraka

Krakowski Rynek Główny to
miejsce szczególne. Plac o wymiarach
dwieście na dwieście metrów, powstał już
na początku historii miasta, a gdy w roku
1257 Bolesław Wstydlawy podpisywał
przywilej lokacyjny miasta, nie przypusz-
czał, że „Serce grodu Kraka” stanie się
największym i najwspanialszym tego typu
rozwiązaniem urbanistycznym w Euro-
pie. Początkowo, krakowski Rynek był
niemalże całkowicie zagospodarowany
i niczym nie przypominał tego czym jest
teraz. Oprócz gmachu gotyckiego ratusza



Przysięga Kościuszk

Fot. Ernest Kopacz



Ratusz
Fot. Ernest Kopacz
oraz kościoła Św. Wojciecha i renesansowych Sukinnic, był tu spichlerz, pręgierz, waga i odlewnia.

Przez wieki, Rynek był jednym z najważniejszych miejsc w Polsce. To tu nazajutrz po koronacji, królowie Polski odbierali hołd od wszystkich miast i potwierdzali przywileje mieszczan. Na oczach mieszkańców w 1525 roku, w Sukinnicach Albrecht Hohenzollern, ostatni wielki mistrz krzyżacki, pokonany przez wojska koronne złożył Zygmunтови I Staremu Hołd Pruski, co stało się zaczątkiem nowego państwa pruskiego.

Również na Rynku 24 marca 1794 roku rozpoczęła się insurekcja kościuszkowska, a sam Naczelnik składał ślubowanie pomiędzy wierzą ratuszową, a ul. Szewską.

Sama historia rynku, oraz wszystkich zabytków znajdujących się na nim, to materiał na kolejny artykuł, bo to tu tworzyła się historia, a wszystko to co stanowi o pięknie i unikalności Rynku świadczy o naszej przeszłości. Także i dziś, wszystko co istotne i ważne dla krakowian odbywa się na Rynku. Wystawy szopek Bożonarodzeniowych, festiwale i happeningi, koncerty i pokazy, wszystko to składa się na wyjątkowy klimat tego zaczarowanego placu.

W stronę Wawelu...

Królewski zamek to ostateczny cel naszej podróży. Nim tam jednak dotrzemy, minimy jeszcze wiele wspaniałych zabytków i monumentalnych budowli, nierozłącznie związanych z naszą przeszłością i tradycją. Są to miejsca świadczące o złożoności Krakowa i Polski, a traktując one o wielości kultur i narodów zamieszkują-



Widok z ul. Floriańskiej na Kościół Mariacki Fot. E. Kopacz

cych nasze królewskie miasto. Ciąg dalszy trasy królewskiej, od ul. Grodzkiej, aż do Wawelu, będzie tematem następnego artykułu, do którego przeczytania serdecznie zachęcam.

Bartosz Banduła



ComMarkt

Karol Macioł
ul. Czarnowiejska 77/37
30-049 Kraków
tel./fax: (012) 632-58-54
tel.kom.: 0501-18-54-68
e-mail: kmaciol@commarkt.com.pl

Oferujemy usługi w zakresie cyfrowej fotografii:

- artystycznej
- dokumentacyjnej
- archiwizacyjnej
- reklamowej
- promocyjnej
- reportażowej
- do stron WWW
- do prezentacji multimedialnych
- do publikacji popularnych
- do publikacji naukowo-technicznych

Oferujemy do wykorzystania archiwum fotografii autorskich



Piraci na horyzoncie

Czarny rynek płyt CD w Polsce niestety istnieje. Skąd bierze się społeczne przyzwolenie na tego typu proceder...???

Jak zdążyliście wywnioskować po tytule nie będzie to artykuł o piratach grasujących w minionych wiekach po morzach i oceanach, ale o piractwie, z którym spotykamy się prawie, na co dzień.

Rynek pirackiego oprogramowania i muzyki jest powszechnym zjawiskiem w większości polskich miast. Na terenie całego kraju można znaleźć giełdy, bazy, czy też stadiony, na których bez problemów kupuje się prawie wszystko poprzestając tylko na płytach CD.

Pirackie płyty są do nas przemycane z państw ościennych i nie tylko. Na Ukrainie lub w Rosji rynek pirackich płyt jest tak rozwinięty, że można by się pokusić o nazwanie go „przemysłem” i to jednym z bardziej dochodowych na czarnym rynku. Ale nie oszukujmy się – płyty CD nie tylko napływają do nas z zagranicy, ale i w Polsce istnieją mniejsze lub większe nielegalne fabryki, o czym świadczą niestety zbyt rzadkie „naloty” policji. W nich to kopiowane i tłoczone są na masową skalę płyty CD i DVD zawierające muzykę, filmy no i oczywiście oprogramowanie komputerowe. Straty wykonawców, koncertów i firm spowodowane działalnością piratów liczone są w milionach dolarów.

Ale dlaczego tak jest, czy potrafimy znaleźć przyczynę takiego stanu rzeczy? Pobudek ku temu jest zapewne wiele, ale te najbardziej oczywiste to przede wszystkim ceny, bo to właśnie one „odstraszają” nas, zwykłych zjadaczy chleba, od zakupu w sklepie lub firmie legalnych płyt z pewnego źródła. Dla przeciętnego Kowalskiego, który musi odkładać z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, żeby móc kupić wymarzony komputer za ok. 3 tys. złotych dodatkowy wydatek, jakim jest dopięnięcie oprogramowania za dodatkowe nawet 1500 zł, staje się nieosiągalny.

Teraz zakup legalnej płyty znanego i topowego wykonawcy wiąże się z wydatkiem rzędu 40 -60 złotych. Takie pieniądze nie leżą na ulicy. W naszych polskich realiach - nie da się ukryć niezbyt obfitych materialnie i finansowo – dla wielu ludzi taki zakup staje się jedynie idealnym prezentem np. na Gwiazdkę. Często bowiem wychodzi się z założenia, że zakup płyt tylko dla siebie, ot

tak dla przyjemności, niestety w większości przewyższa nasze – nie tylko studenckie możliwości finansowe.

Właśnie w takich przypadkach, wyciągają do nas ręce piraci. Oni oferują nam niejednokrotnie większy wybór, częstsze dostawy, a nawet możliwość zakupu filmu lub muzyki jeszcze przed oficjalną premierą. Czy to już nie jest argument? A na dodatek wystarczy porównać ceny. Za takiego „piracka” z muzyką płacimy zazwyczaj 10 – 20 złotych, za programy/grę – w zależności od ilości płyt, na których zostały nagrane 25 – 45 złotych. Porównując dalej, jeśli bierzemy pod uwagę płyty z muzyką płacimy za pirata ok. 20% ceny oryginału. Jeśli chodzi o oprogramowanie – tu tzw. „przebitka” jest znacznie większa, bo za program wart w sklepie 1000 – 1500 złotych na giełdzie płaci się ok. 25 złotych – rachunek jest prosty.

Telewizja często nadaje programy, w których znane gwiazdy potępiają tego typu proceder, zachęcając do legalnych zakupów. Artyści odpowiadając na zarzuty dotyczące cen oryginałów zasłaniają się argumentem, dotyczącym ich własnych strat na działalności piratów. Twierdzą tym samym, że nie może być na razie mowy o obniżeniu cen oryginałów.

Tu właśnie pojawia się kwestia sporna i koło się zamyka. Oczywiście pozostaje kwestia etyczna i prawna. Policja się stara. Dwoi i troi, ale schwytywanie piratów jest bardzo trudne, a znalezienie wytwórni jeszcze trudniejsze.

Myślę, że każdy nas wolałby mieć całą półkę oryginalnych płytek z pięknymi hologramami, a nie falsyfikatów, które nie zawsze działają lub działają w niekoniecznie oczekiwany sposób.

Kupując płyty u ulicznego, bazarowego sprzedawcy nie ma możliwości sprawdzenia zakupionej płytki na miejscu nie wspomnę już o jakiegokolwiek (poza zapewnieniem sprzedawcy) gwarancji, że

kupowany towar faktycznie znajduje się w opakowaniu, które klient trzyma w ręku. Kupując legalny towar w sklepie



Fot. Jakub Maciej

spokojnie można ominąć takie dylematy. Nawet w przypadku, gdy zakupiony towar jest uszkodzony lub wadliwy, wystarczy przyjść z paragonem, w celu wymiany na nowy, wolny od wad.

Istnieje jeszcze jedno bardzo poważne zagrożenie, jakie niesie ze sobą używanie pirackich krążków. Takie programy, czy gry mogą być przez piratów bez większego problemu dowolnie przerabiane. Użytkownik nie mogący się już doczekać pierwszej rozgrywki w nowo nabytej grze, zaraz po przyjeździe do domu instaluje program i go bez zastanowienia uruchamia, nie wiedząc, co on w sobie zawiera. A ukrywać może między innymi wirusy i trojany, które mogą zniszczyć dysk lub przez sieć Internet umożliwić dostęp do prywatnych danych osobom z zewnątrz.

Kończę moje wywody drogi czytelniku jednym zdaniem podsumowania: jeśli chcesz mieć pewność, że płyta, którą kupujesz jest idealnej jakości, zawiera to co powinna i zarazem nie chcesz mieć na karku wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną oraz oskarżenia o państwo, kupuj TYLKO oryginalne płyty CD & DVD.

Lukasz Gliński

Student

Cykl: InteRR@nking, czyli...

Co piszczy w sieci

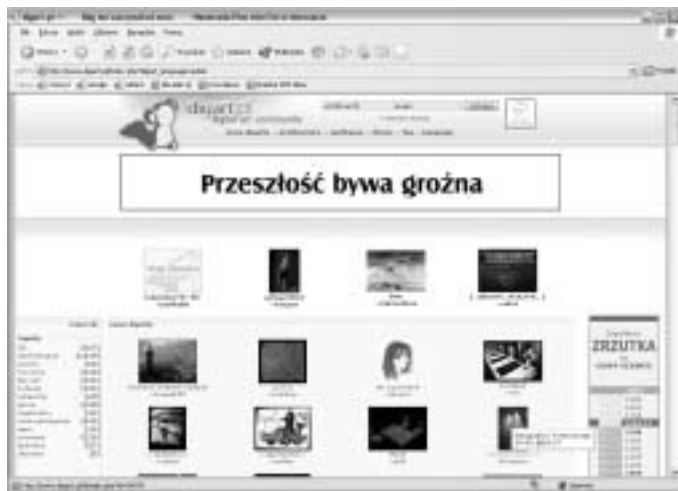
W dobie szerokiej i na domiar ciągle rosnącej popularności sieci Internet w „Multis Multum” gości cykl, poświęcony przeglądowi wybranych stron internetowych. Stąd najszybciej i najłatwiej, a zarazem najdokładniej dowiecie się gdzie czego szukać.

www.digart.pl

Digart to strona zrzeszająca grafików, malarzy, szkicowników i wszystkich innych amatorów ołówka, kredki i komputera, którzy całą swoją pasję poświęcają na tworzeniu swoich prywatnych „dzieł”. Mają oni możliwość zaprezentowania ich większej liczbie odbiorców na łamach tej strony, bo jak wiadomo organizowanie własnych wystaw jest pracochłonne i nie każdy znajduje na to środki. Strona stwarza dodatkowe możliwości wymiany kontaktów, doświadczeń i wyrażania swoich krytyk na temat prac innych prac, co często jest bardzo cenne dla autorów. Oczywiście tylko wtedy, gdy krytyka jest właściwie uzasadniona.

Przy pierwszym wrażeniu bardzo rozbudowana struktura portalu może trochę przytłaczać, ale po kilku kliknięciach wszystko staje się jasne. Po lewej stronie mamy prawie wszystko, co jest nam potrzebne do poruszania się, ponieważ odwiedzamy witrynę w osobie zwiedzającego. Udostępnione tu zostały wszystkie kategorie prac: tapety, fotografia, odręczne, projekty, wraz z dużą ilością podziałów tematycznych do każdej z nich. Ze względu na ich ilość i objętość serwis umieszczony był na szybkim (płatnym) serwerze. Niestety obecne warunki autora witryny, zmusiły go do przeniesienia jej na mniej wydajny serwer, co odczuwamy chcąc obejrzeć wybrane pozycje. Jeżeli chcesz pomóc, informacje dotyczące „wspomagania serwisu” znajdują się na głównej stronie.

Jeżeli zapagniemy uczestniczyć w rozmowach prowadzonych na forum lub dać jakieś wskazówki dotyczące prac ich autorom, będziemy musieli stworzyć swój własny profil. Wiąże się to z wypełnieniem krótkiego formularza i stworzeniem swojego „awataru”, znaku rozpoznawczego wśród użytkowników. Tutaj musimy wykazać się już własną inwencją twórczą. Wtedy również istnieje możliwość sprawdzenia talentu jaki być może sami posiadamy nawet o tym nie wiedząc. Zamieszczamy zatem



swoje prace i pozostaje nam tylko czekać na opinie innych. Ukoronowaniem naszych wysiłków może być umieszczenie naszej pracy na WW – „Wasz wybór”, na który głosują wszyscy zalogowani użytkownicy serwisu. Zatem może i Ty spróbujesz swoich sił ?

www.off-road.pl



Witryna internetowa magazynu OFF-ROAD. Znajdziemy na niej wszystko o samochodach terenowych. Interfejs graficzny przyciąga oko stonowanymi dobrze dobranymi kolorami, a nawigacja po witrynie jest przejrzysta i łatwa. Na stronie tej znaleźć można opis bieżącego numeru pisma, mnóstwo artykułów i porad. Oprócz tego bardzo obszernie opisane imprezy wraz z kalendarium wszystkich rajdów polskich i zagranicznych. Zainteresowani mogą nawet przejrzeć oferty kupna i sprzedaży samochodów jak i wszelkich akcesoriów związanych z off-road. Galerie pozwalają zobaczyć co dzieje się podczas zlotów, rajdów i tym podobnych imprez, a dla prawdziwych miłośników autorzy umieścili tapety do ściągnięcia.

Polecam witrynę off-road wszystkim tym, którzy są lub marzą aby być w posiadaniu samochodu terenowego i przeżyć wyścig taki jak Camel Trophy.

www.antywirusy.pl

O zagrożeniu jakim dla naszej „blaszki” (PC) są wirusy komputerowe wie chyba każdy użytkownik. O tym, że najlepszą bronią na wirusy są programy antywirusowe także nie muszę przypominać. Właśnie tej tematyki dotyczy serwis www.antywirusy.pl. Na łamach witryny czytelnik może zapoznać się z opisami poszczególnych programów antywirusowych wiodących firm takich jak McAfee, czy TREND MICRO. Witryna dostarcza



również wiedzy o samych wirusach, porad jak uchronić komputer przed zainfekowaniem, oraz co robić kiedy już jakiegoś złapiemy. Dzięki mapie wirusów można zobaczyć gdzie na świecie rozprzestrzeniają się określone typy i ile komputerów statystycznie zostaje zakażonych. Witryna to również sklepik internetowy, gdzie można kupić oprogramowanie antywirusowe wiodących firm na rynku. Layout serwisu utrzymany jest na bardzo wysokim poziomie. Harmonijnie dobrane kolory oraz rozmieszczenie elementów tworzą przyjemny dla oka interfejs. Polecam tę stronę, bo niestety codziennie powstają nowe odmiany wirusów i warto jest coś o nich wiedzieć.

www.kabaretpotem.pl

„Mówi się, że prawdziwa sztuka obroni się sama, ale nie przede mną...” - strona internetowa kabaretu POTEM, który tworzą: Leszek Janek, Mirosław Gancarz, Władysław Sikora, Adam „Smutny” Pernal, Joanna Kołaczkowska oraz Darek Kamys. Na stronie możemy przeczytać życiorysy osób tworzących kabaret, zamieszczone są tam również aktualności dotyczące występów jak i innych wydarzeń dotyczących grupy kabaretowej. Obszerna galeria dostarczy fanom zdjęć z występów grupy, a duża kolekcja plików mp3 z nagraniem skeczami pozwoli odwiedzającym usłyszeć kabaret „Potem” w akcji. Internauta ma także możliwość zapoznania się z tekstami skeczy z różnych programów artystycznych, które stworzyła grupa.



„Wiadomo, że największym marzeniem Człowieka jest latać i nie spać na ryj”;

„A aaaaa już jest wiosna

A aaaaa dłuższe dni

A aaaaa kwiaty rosną

A aaaaa głupie, nie?

Drzewa mają pączki,

w jajkach są pisklęta,

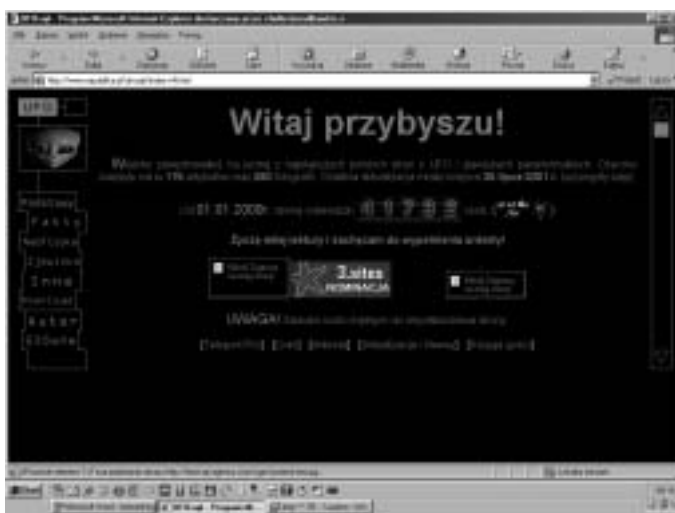
przyroda jak zwrotka

niedorozwinięta!”

To tylko próbka humoru kabaretu Potem. Więcej można zobaczyć wchodząc na stronę. Polecam ją zatem gorąco na poprawę humoru.

www.republika.pl/ufosajt

UFO, czyli Unidentified Flying Object, Niezidentyfikowany Obiekt Latający jest zjawiskiem ostatnimi czasy bardzo popularnym, pomimo, że jest znane od bardzo dawna. Witryna przeznaczona jest dla wszystkich pasjonatów zjawiska jakim jest UFO. Czy Ziemię naprawdę odwiedzają kosmici? Na to pytanie



odpowiadają autorzy strony. Możemy doszukać się kilku hipotez na ten temat, definicji UFO, opisu jego budowy, dowiedzieć się, co sprawia że lata oraz dotrzeć do całej masy artykułów, dotyczących zarejestrowanych spotkań z UFO.

Innym działem obok UFO jest dział dotyczący zjawisk paranormalnych. Przedstawione są tu zagadnienia takie jak samozapłon, informacje o trójkącie bermudzkiej, czy życiu po śmierci. Zbiór tapet, zdjęć pojazdów oraz programów pozwoli upiększyć pulpit naszego „blaszaka”. Polecam stronę wszystkim miłośnikom tajemnic, spisków i niewyjaśnionych zdarzeń.

Jaszczur

Klucz do bram lepszego świata

Realne niebezpieczeństwo i realna odpowiedź organizmu. Bezpośrednie zagrożenie życia pod postacią drapieżnika i jednocześnie adrenalina zwiększająca szanse przetrwania. Mechanizm, który tak dobrze sprawdzał się u początków naszej fizycznej ewolucji często jednak zawodzi nas podczas sesji... i nie tylko.

Sesja, egzaminy, wcześniej kolokwia. Życie każdego człowieka obfituje we wszelkiego rodzaju testy, sprawdziany - we współczesnym świecie wysoko rozwiniętej cywilizacji zagrożenia płynące z zewnątrz mają coraz częściej charakter wyłącznie mentalny. Jakie jest bowiem prawdopodobieństwo, że w środku miasta spotkamy się oko w oko ze zbiegłym właśnie z klatki lwem? O wiele bardziej prawdopodobne jest, że padniemy ofiarą rozboju lub wypadku komunikacyjnego. Pożar, wybuch gazu... Pozornie codziennych zagrożeń są setki, jeżeli nie tysiące. Pozornie, bowiem duża ich część jest urojona i istnieje wyłącznie w psychice - w przestrzeni mentalnej człowieka.

Uzasadniony lęk w rozsądnych ilościach, w sytuacjach sankcjonujących jego pojawienie się, to nierzadko rzecz wręcz zbawienna. Niestety, jak to często bywa o szkodliwości decyduje dawka - a prawdą jest, że lęk w dużych ilościach może nawet zabić. Zbyt intensywny lęk paraliżuje, odbiera zdolność działania. Lęk jest uczuciem które domaga się natychmiastowej reakcji, wymaga bycia obsługowanym w pierwszej kolejności - najczęściej szybki bieg w celu oddalenia się od miejsca w którym pojawiła się sytuacja lękowa załatwiałby sprawę. Jak często jednak cywilizowany człowiek może sobie na coś takiego pozwolić w sytuacjach społecznych? A tymczasem lęk kumuluje się, napędza przeznaczone dla niego w umyśle naczynie, w końcu przelewa się, podtapia wszystko dookoła, wszystko nim nasiąka, pojawiają się zacieki, a potem trzeba płacić za te wszystkie zniszczenia - tu niestety najczęstszą walutą jest zdrowie i pozytywna energia psychiczna, utożsamiana najczęściej z dobrym samopoczuciem.

Czekamy na egzamin i z tłumionego lęku rodzi się w nas stres. Im ważniejszy i bardziej decydujący egzamin, a przy tym im mniej pewności co do posiadanej wiedzy potrzebnej by go zdać, tym łatwiej o stres. Studenci podczas zaliczania sesji nie mają tu oczywiście wy-

łączności, bowiem ze zjawiskiem stresu borykają się wszyscy i w rozmaitych sytuacjach. Podobno student najczęściej umie gdy opuszcza już salę egzaminacyjną, gdy zamykają się za nim drzwi i jest już po wszystkim. Straszliwy pech chwilowego braku kondycji? Zapewne. Świadomość i umysł to zjawiska u ludzi z reguły bardzo delikatne - tak delikatne, jak brutalna jest fizyczność je hamująca. Fizyczność jest formą dla świadomości, dla naszego umysłu. Warto zastanowić się nad stwierdzeniem, że gdybyśmy mieli inne ciała być może nasza świadomość ukształtowana byłaby inaczej. Zapewne ciężko jest oszaczować kiedy na drodze ewolucji nasi przodkowie rozwinęli się fizycznie na tyle, by ich forma pomieściła jak dotąd najbardziej rozwiniętą świadomość na naszej planecie. Faktem wydaje się być jednak ewolucyjna ciągłość tego procesu. Co więcej, na obecnym etapie nie jesteśmy już bezwzględnie uzależnieni od dalszej ewolucji mózgu, możliwe jest bowiem skuteczne wytrenowanie umysłu na takim sprzecznie, jaki posiadamy już teraz.

Czekamy więc na egzamin i rodzi się w nas stres. Opanowuje nas niemoc - tak najczęściej wygląda typowy scenariusz. Są jednak ludzie, którzy się nie denerwują. Czują się dobrze. Czasem przystępują do egzaminów z lukami w wiedzy, a otrzymują oceny lepsze od solidnie przygotowanych, ale zestresowanych kolegów. Część z nich to naturalne talenty, inni sobie po prostu zaufali, a jeszcze inni mają po prostu... kontrolę. I o to właśnie głównie chodzi - o kontrolę, o pewne trzymanie rąk na sterach. Kontrola nad procesami dookoła nas, kontrola nad zmianami i sytuacjami które nas dotyczą. Kontrola oznacza dobre samopoczucie na zawołanie. Kontrola to wyłączony ból zęba jeśli nie chcemy by nas bolał. Kontrola to sukces kiedy chcemy osiągnąć sukces. Kontrola to oznaka siły umysłu i świadomości. Kontrola to w końcu także wielka odpowiedzialność, ale jeśli wziąć pod uwagę jak wiele głupot ludzie popełniają z powodu zdawania się

na przypadek, to chyba nie jest to w każdej sytuacji naczelnym problemem... Poza tym startujemy z pozycji przeciętnego człowieka ogarniętego problemami lęków, stresów i innych dyskomfortów psychicznych dnia codziennego. Na początkowym etapie przejmowania kontroli możemy sobie tylko pomóc, nie ma więc co martwić się na zapas problemami natury etycznej. Nie jest to próba bagatelizowania problemu na siłę i uciekania od rozważań na temat manipulacji - po prostu nie jest to jeszcze właściwy moment na takie rozważania.

Relaksacja jest kluczem do treningu umysłu. Wytrenowany umysł jest środkiem do skutecznego osiągnięcia celów. Niczego jednak nie osiągniemy bez ćwiczeń. Podobnie jak teoretyczna wiedza o tym jak szyc buty nie uczyni z nas zręcznych i doświadczonych szewców, tak samo wiedza na temat jak rozwiązać dany problem nie uczyni go automatycznie rozwiązany. Potrzebna jest praca. Sugestywne spostrzeżenie dla wszystkich reagujących alergicznie na słowo „praca”: Praca to nic innego jak dokonywanie zmian, a zmiany są esencją życia. Życie przejawia się więc również poprzez pracę. Regularne i poprawnie wykonywane ćwiczenia to praca którą trzeba włożyć, aby osiągnąć rezultaty. Rezultaty są miarą prawdy, więc jeśli coś nam nie wychodzi, to znak, że robimy to źle. Nie ma kompromisów - nie zajmujemy się urojonymi! Nasza praca ma konkretny cel. Poruszanie się od celu do celu to nawyk który warto w sobie rozwinąć - w przeciwnym razie grozi zawieszenie w próżni na czas nieokreślony, tudzież upodobnienie się do suchego liścia dryfującego z prądem na rzece - a nam chodzi przecież o coś zupełnie przeciwnego. Nie chcemy być ani bezsilni, ani targani przypadkiem. Aktywność to fundament dobrego życia.

Nie ma żadnego zaskoczenia w tym, że choć współczesny świat bombarduje nas milionami informacji radzącymi jak żyć lepiej, to właściwie niewiele

z nich jest naprawdę wartościowych, a jeszcze mniej z nich trwale absorbujemy. Nadmiar informacji to często brak informacji, problemem wydaje się być brak kilku przejrzystych reguł powtarzanych wciąż i wciąż, stanowiących solidny fundament dla dokonywania na ich bazie zmian. W naszym przypadku rozważania te dotyczą technik relaksacyjnych. Oczywiście można w tym momencie odesłać osoby zainteresowane do odpowiedniej literatury poświęconej relaksacji, wspomnieć o jodze i innych dalekowschodnich technikach medytacyjnych, zachęcić do samodzielnych poszukiwań najlepszych indywidualnie technik. Cóż z tego jednak, skoro świat każdego z nas pełen jest tylu ważnych spraw, tylu codziennych zajęć, tylu stresujących problemów... Prawdopodobnie w większości przypadków temat rozwiałby się niczym mgiełka. Dlatego w tym momencie pojawia się propozycja prostego i bezpiecznego ćwiczenia relaksacyjnego. Jego zadaniem jest głównie złagodzenie fizycznych skutków stresu, a w dalszej perspektywie rozwija ono umiejętność relaksowania się na nasze świadome żądanie. Oto przepis.

Ćwiczenie składa się z dwóch etapów - pierwszy służy uświadomieniu i usunięciu napięcia mięśni, drugim etapem jest wyuczenie się relaksującego sposobu oddychania i skojarzenie go z rozluźnieniem mięśni. Celem ćwiczenia jest wyuczenie się reakcji rozluźniającej w podobny sposób jak człowiek uczy się dla przykładu jeżdżenia na rowerze - relaksacja powinna stać się wyuczonym, nieświadomym procesem spełniającym swą funkcję w sposób automatyczny. Aby najpierw rozwinąć, a potem utrzymać tę umiejętność w dobrej kondycji, należy opisaną ćwiczenie wykonywać systematycznie dzień w dzień. Najlepszą porą jest ta, w której umysł jest najmniej rozproszony, a co za tym idzie ćwiczenie to dobrze jest wykonywać zawsze z rana po obudzeniu się - można traktować je jako element psychicznej higieny i część porannej toalety na równi z myciem zębów. O wiele więcej pożytku da relaksowanie się krócej i częściej systematycznie, niż rzadko i nieregularnie po kilka godzin. Ćwiczenie tu opisaną dobrze jest wykonywać przez całe życie. Jeśli ktoś potrzebuje dodatkowej zachęty, to można dodać, że solidny trening, a co za tym idzie rozwinięta umiejętność relaksacji pomoże

nie tylko zminimalizować szanse na pierwszy zawał przed czterdziestką - relaksacja otwiera bowiem drogę do korzyści o wiele mniej banalnych.

Napięcie mięśni podobnie jak stres często bywa głęboko zakorzenionym nawykiem, jest ono często utożsamiane z dyskomfortem. Aby je zwalczyć musimy je rozpoznać. Pierwszy etap ćwiczenia pomaga pobudzić świadomość tak by była ona zdolna rejestrować i kontrolować napięcie mięśni. Ćwiczenie należy wykonywać leżąc w łóżku przez około dziesięć, piętnaście minut - później można ten czas wydłużyć.

Leżąc na wznak w wygodnej pozycji napinamy i rozluźniamy po kolei wszystkie partie mięśni - poczynając od stóp, a kończąc na czole. Zaczynamy od podkurczania palców stóp aż do uczucia drętwienia, a następnie rozluźniamy je. Powinniśmy uświadomić sobie różnicę między mięśniami napiętymi i rozluźnio-



nymi. To samo robimy kolejno z mięśniami stóp, łydek, ud, itd. Nie omijamy żadnych partii mięśni, pamiętajmy również o mięśniach głowy. Gdy już rozluźnimy mięśnie czoła prawdopodobnie zdamy sobie sprawę, że napięcie ponownie wdarło się do mięśni już rozluźnionych. Śledzimy więc w myślach jeszcze raz cały proces i jeśli pocujemy gdzieś napięcie, wtedy ponownie napinamy dane partie mięśni w których ono nastąpiło aż do poczucia dyskomfortu, po czym rozluźniamy je i rejestrujemy różnicę. Gdy już jesteśmy całkiem rozluźnieni, wtedy napinamy wszystkie mięśnie w jednym momencie, a następnie rozluźniamy się i odprężamy. To wszystko. Im bardziej jesteśmy przyzwyczajeni do napięcia, tym lepiej pocujemy się po wykonaniu tego ćwiczenia.

Do drugiego etapu należy przejść dopiero wtedy, gdy wejście w stan świadomej relaksacji której uczy pierwszy

etap odbywać się będzie płynnie i bez problemów. Tym razem zastępujemy łóżko krzesłem, rozluźnienie sprzyja bowiem zapadaniu w sen, a tego właśnie chcemy uniknąć. Ćwiczenie oddechowe o którym teraz mowa należy wykonywać za pierwszym razem przez góra trzy minuty, dodając codziennie po minucie przez kilka następnych tygodni. Początkowo nie należy oddychać zbyt głęboko - do tego też należy dochodzić z czasem. W trakcie ćwiczenia należy wstrzymywać oddech, ale należy to robić przeponą, a nie poprzez zaciśnięcie gardła. W razie jakichkolwiek problemów ćwiczenie należy przerwać.

Celem ćwiczenia jest wyuczenie rytmu oddechu dwa na cztery. Wypuszczamy powietrze z płuc licząc do czterech - nie należy tego robić na siłę. Następnie robimy niezbyt głęboki wdech licząc w myślach do czterech. Teraz licząc w myślach do dwóch wstrzymujemy oddech. Kolejny jest wydech który robimy licząc do czterech. W tym momencie wstrzymujemy oddech i liczymy do dwóch. W skrócie ćwiczenie to polega na wdychaniu i wydychaniu powietrza w rytmie na cztery, oraz wstrzymywaniu oddechu przed każdym wdechem i wydechem w rytmie na dwa. Zachowanie rytmu jest bardzo ważne, tempo liczenia trzeba dostosować do własnych indywidualnych predyspozycji.

Efektom ćwiczenia powinno być odprężenie wywołane reakcją biochemiczną związaną ze zwiększeniem ilości tlenu we krwi.

Gdy nauczymy się już w sposób automatyczny wykonywać drugi etap ćwiczenia, jest to znak, że nadszedł czas na jednoczesny trening oddychania i świadomej relaksacji. Jest to główny cel do którego zmierzają opisaną tu techniki. Po około pięćdziesięciu do siedemdziesięciu sesjach organizm znacznie kojarzyć oddech w rytmie 2/4 z relaksacją. Wystarczy wtedy zacząć w dowolnym momencie oddychać w tym rytmie, a na zasadzie nieświadomego odruchu ciało odpręży się jak podczas ćwiczeń. W ten sposób możliwe jest pokonanie każdego stresu.

Ernest Kopacz

Prawdy i Mity

rzecz o samotności człowieka żyjącego
w świecie wirtualnej rzeczywistości, czyli

Samotność w sieci

Coraz więcej czasu spędzamy przed ekranem komputera. Powoli uzależniamy się od Internetu i traktujemy go już nie tylko jako narzędzie pracy, ale także jako sposób na wypełnienie wolnego czasu, czy sposób na poznawanie nowych ludzi. Czy jednak stan taki nie zagraża nam samym? Czy będziemy na tyle odporni, aby oprzeć się tej cybernetycznej pułapce?

Czas wielkich zamian

Miniona dekada była okresem rewolucji technicznej. Niemalże codziennie cybernetyczny świat zyskiwał nowe oblicze. Gwałtowny rozwój technologii informatycznych, połączony z ekspansją usług telekomunikacyjnych, znaczenie przyczynił się do rozpowszechnienia Internetu, jako globalnej maszyny w zasadzie „do wszystkiego”. Tak naprawdę nikt nie zauważył, jak szybko świat wirtualnej rzeczywistości zaczął przenikać realność. Ludzie powoli przyzwyczajali się do obecności komputerów i sieci, która stopniowo zyskiwała na znaczeniu, stając się istotną częścią składową każdego z nas. Ogromne możliwości związane z ekspansją branży IT fascynowały i nadal fascynują nasze społeczeństwo, a to, co twórcy filmów fantastycznych uznawali do niedawna za możliwe do zrealizowania, w filmach staje się powoli rzeczywistością. Krok po kroku mimowolnie stajemy się niewolnikami technologii, która w swojej istocie miała wyzwolić zachodnią cywilizację i przyspieszyć jej ostateczny tryumf.

Władcy cyber-świata?

Od początku historii Internetu, człowiek zakładał, że to właśnie on jako architekt sieci, będzie jej całkowitym panem i władcą. Innego rozwiązania nie było, bo przecież nie wydawało się możliwe, aby coś tak cudownego jak globalna wielka sieć, była czymś złym w swej istocie. Jednak prawda, jak to czasami bywa w takich przypadkach, okazała się brutalna i całkowicie różna od przewidywań. Kolejny raz człowiek przegrał sam ze sobą, tworząc coś nad czym jego psychika nie może zapanować. Oczywiście sama istota Internetu nie jest zła, lecz problem tkwi w sednie ludzkiej psychiki. Oto dostaliśmy narzędzie, dzięki któremu możemy kreować nie tylko to, co nas otacza i stanowi naszą codzienność. Dzięki „potędze” komputera, możemy od początku do końca wykreować się sami. Jesteśmy

zdolni do ponownego uszeregowania naszego systemu wartości, bez problemu możemy kreować swój wizerunek zewnętrzny, jak i to co tkwi gdzieś głębiej, co stanowi o naszej wyjątkowości i niepowtarzalności. Oznacza to, że człowiek w stworzonym przez siebie świecie wirtualnej rzeczywistości, może dowolnie kształtować siebie, a co za tym idzie stać się częścią tworzącego go, którego granice, tak przecież jasne i przejrzyste powoli się zacierają. Uczestnicząc w tym procesie sta-



Rys. Małgorzata Ptak

jemy się częścią międzynarodowej „cyberspołeczności”. Należy zadać sobie jednak fundamentalne pytanie: czy naprawdę istnieje taka społeczność? Czy możemy zastąpić fizyczny kontakt z drugim człowiekiem (tak przecież konieczny dla naszej egzystencji) jedynie „czatem” w multimedialnej oprawie?

Samotni pośród tłumu...

Poruszając się pomiędzy portalami oferującymi wspaniałą rozrywkę i dającymi możliwość poznania wspaniałych ludzi, nie można oprzeć się wrażeniu, że „tam” na pewno nie będziemy się czuć samotnie, a ludzie, których spotkamy będą tak prawdziwi jak my sami... Tyko czy my sami zdobędziemy się na wysiłek pokaza-

nia siebie samego tak prawdziwego, jak to tylko możliwe? Czy będziemy w stanie oprzeć się pokusie i oczywistej zachęce zmiany tego, co raz już zostało ustalone? Oczywiście możemy stwierdzić, że to zależy od nas samych, ale będzie to tylko połowiczna prawda, ponieważ nigdy nie będziemy mieli pewności, co tak naprawdę kryje się za ścianą „kodu binarnego”. Chcąc zawiązać znajomość, czy też po prostu porozmawiać, musimy brać pod uwagę warunkowość naszego „spotkania”, czy dyskusji. To, co wydaje się wspaniałe w sieci, może okazać się zgubne w prawdziwym świecie. Może okazać się, że żyjąc w wymyślonych realiach Internetu, tak naprawdę jesteśmy całkiem sami pośród tłumu, który jest tak „blisko nas”. Niestety kiedy zdamy sobie z tego sprawę, będzie już za późno na konkretną reakcję. Czar sieci pryśnie jak „mydlana bańka”, a luka która po niej zostanie może okazać się bolesną raną.

Szukając samego siebie

Musimy zauważyć, że Internet w samej swojej naturze nie jest ani zły, ani dobry. Jest po prostu narzędziem, którego nieskończone możliwości definiują jego obecność w naszym życiu codziennym. Tak naprawdę to tylko od nas zależy, jak będziemy wykorzystywać ten niesłychany potencjał. Jako jednostki rozumne, sami możemy decydować o pozycji i roli sieci w aspekcie społecznym. Miejmy jednak na uwadze wszystkie zagrożenia związane z ekspansją wirtualnej rzeczywistości w warstwy naszej prywatności. Nie pozwólmy, aby produkt naszej cywilizacji stał się jej najważniejszą częścią. Bądźmy sobą, a przebywając w cyber-przestrzeni pamiętajmy o rzeczywistości, która nas zdeteminowała i pozwoliła nam brać udział w tej wirtualnej „zabawie”. Pamiętajmy o tych, którzy fizycznie są wokół nas. Oni naprawdę stanowią część naszej tożsamości, a „Matrix” nigdy nie zastąpi prawdziwego świata przeżyć, uczuć i doznań.

Bartosz Bandula

Prawdy i Mity

Pacyfizm



Czym tak właściwie jest? Tak jak większość słów naszej ojczystej mowy, tak również i to jest znane, ale nie zawsze potrafimy je konkretnie określić lub opisać w kilku zdaniach, co tak naprawdę znaczą i jakie ma odzwierciedlenie w rzeczywistości.

Encyklopedyczne znaczenie

Pacyfizm - ruch społeczno-polityczny propagujący pokój i potępiający wszelkie wojny i przygotowania do nich. Samo słowo „pacyfizm” pochodzi z łacińskiego „pacificus”, co oznacza: wprowadzający ból. Ten ruch społeczny dąży przede wszystkim do wyeliminowania wojny jako sposobu rozstrzygnięcia konfliktów wewnętrznych i międzynarodowych.

Trochę historii

Od dawien dawna ludzie rozwiązują swoje problemy przy użyciu siły i przemocy. Istnieje przekonanie, że „duży i silniejszy może więcej”. Nie ma jednak nic bardziej mylnego od takiego stwierdzenia. Pacyfizm w XIX wieku miał charakter liberalno – burżuazyjny, propagował pokój i potępiał walki bez względu na ich przyczyny i charakter. Nie ważne jest przecież, czy mamy do czynienia z wojną zaborczą, czy też wyzwoleniczą. Zarówno w jednym jak i drugim przypadku giną niewinni ludzie, którzy zazwyczaj nie mają nic wspólnego z zaistniałym sporem. Uważający się za wysoko cywilizowaną istotę, człowiek wciąż prowadzi prace nad udoskonaleniem technik zabijania i zadawania cierpienia.



Hipisi

Na szczęście w naszej przeszłości pojawili się ludzie, dla których istota ludzka, jej życie i godność stanowią wyższą wartość, niż spory, wojny i interesy publiczne. To właśnie dzięki ich inicjatywom powstał pacyfizm. Pierwsze organizacje pacyfistyczne powstały w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii w wieku XIX, po zakończeniu wojen napoleońskich. W 1945 roku na Hiroszimę i Nagasaki spadły bomby jądrowe. Okres po

1945 roku zwany jest epoką atomu, ponieważ wtedy do świadomości ludzi dotarło, jak wielkim niebezpieczeństwem jest broń jądrowa. W 1953 roku prezydent USA Eisenhower zapoczątkował kampanię, której hasło brzmiało: „atom dla pokoju”. Akcja ta dotyczyła wykorzystania energii jądrowej w celach pokojowych. Wtedy rozpoczął się tzw. „okres zimnej wojny pomiędzy USA i ZSRR”. Do ok. 1980 roku obydwa państwa zgromadziły ogromną ilość broni nuklearnej, która, jak szacują naukowcy, wystarczałaby do zagłady całego świata. Jednak ta część ludzi, dla której przewodnią myślą było traktowanie ludzi po ludzku sprzeciwiała się zaistniałej sytuacji. Wspólnie, przeciwnicy broni jądrowej z całego świata przyjęli znak zwany „pacyfką”, jako symbol pokoju.

Największy rozkwit pacyfizmu miał miejsce w Stanach Zjednoczonych i w Europie zachodniej w latach 60-tych. Tysiące młodych ludzi sprzeciwiło się bezsensownej wojnie w Wietnamie. Wtedy również na świecie „zaistnieli” hippisi. Byli tym szczególnym odłamem, który chciał zmienić świat na lepszy, który rozumiał jego problemy, walcząc o to, by nikt nie był głodny i nikt nie płakał.

W drugiej połowie XIX wieku odbywały się liczne międzynarodowe kongresy pacyfistyczne, m.in. w 1843 r. w Londynie, w 1848 r. w Brukseli, w 1849 r. w Paryżu. Ruch pacyfistyczny doprowadził do zwołania haskich konferencji pokojowych w 1899 i 1907. W 1895 r. A. Nobel ustanowił nagrodę pokojową.

Pacyfistami byli światowej sławy uczeni, filozofowie i pisarze, między innymi: H. Grotius – holenderski uczyony i dyplomata, który w 1625 r. przedstawił pojęcie prawa międzynarodowego, I. Kant – głoszący ideę wiecznego pokoju

Organizacje pokojowe

Dążenia do utrzymania pokoju znalazły także wyraz w powstawaniu międzynarodowych organizacji pokojowych. Organizacją, która działa na rzecz światowego pokoju jest istniejąca od II wojny światowej Organizacja Narodów Zjednoczonych. Główna siedziba ONZ mieści

się w Nowym Jorku. Tam zbiera się Rada Bezpieczeństwa, której głównym zadaniem jest utrzymanie pokoju na świecie i zapobieganie konfliktom zbrojnym. Tam właśnie rozstrzygane są najważniejsze konflikty międzynarodowe. W 1864 r. powstała zaś inna organizacja pod nazwą Czerwony Krzyż, czyli międzynarodowa organizacja humanitarna i charytatywna.



Dzieci Kwiaty

Pacyfizm współcześnie

W ostatnich latach idee pacyfizmu królują przede wszystkim w mediach. W Internecie każdego dnia pojawiają się dziesiątki nowych stron, robionych przez młodych zapaleńców, którzy wierzą w pokój. Taka wiara daje im siłę do walki ze współczesnym światem, pełnym tak wielu sprzeczności, cierpienia i bólu. Jest godne podziwu to, że potrafią wyjść ze swoimi przekonaniem i ideałami do ludzi.

Pacyfizm - marzenie utopistów i poetów, z pewnością zamieszka wśród nas na stałe. Wojna przestaje być dla nas – dzieci XXI wieku codziennością, więc sensowność idei pacyfizmu nie powinna dzisiaj wzbudzać wątpliwości. Pacyfizm jest pojęciem szerokim; wiąże się, bowiem nie tylko z zakazem prowadzenia jakichkolwiek wojen, lecz również splata się z ideami ekologicznymi, ponieważ ochrona środowiska jest wyrazem troski o zdrowie ludzkie.

Myśl o wiecznym pokoju, niezarburzonymi wojnami prowadzonymi do ludzkiego cierpienia towarzyszy nam od wieków. Pacyfizm stanowi odzwierciedlenie naszej duszy, naszych uczuć i przekonań. Nawet we współczesnym świecie pełnym zabieganych ludzi, jak widać, możemy dostrzec troskę o godne życie i brak przemocy.

Barbara Szulkowska

Prawdy i Mity

Dlaczego boimy się „dresów”?

Mały przedsmak tego, o czym będzie poniższy artykuł.

Sytuacja rozgrywa się wieczorem, obok jednego z centrum handlowych w Krakowie, dla własnego i nie tylko własnego bezpieczeństwa nie wymieniam nazwy. Pan X to postać nic nie winnego przechodnia, natomiast Pan Y poruszający się na rowerze to... zresztą sami zobaczcie (prze-czytajcie). Relacja znajomego:

Pan Y: Patrz k... jak stoisz - (właściwie to nie wiedziałem o co mu chodzi)

Pan X: Sorry...- (koleś był napa-kowany, więc... zdrowy rozsądek przede wszystkim)

Pan Y: Co żeś k... powiedział?

Pan X: Powiedziałem sorry... - (miałem cichą nadzieję, że gość się odwali)

Pan Y: Wiesz, która godzina? - (na numer z zegarkiem po prostu nie można dać się nabrać)

Pan X: No nie mam zegarka, ale pewnie około 18.

Pan Y: A masz fajki?

Pan X: Nie palę... - (mały kłam-czuszek ze mnie)

Pan Y: A chcesz w ryj? - (tutaj pozwolę sobie dalej nie komentować...)

Kim są „dresiarze” ?

Słowo „dresiarz” - o ile wiadomo - weszło do oficjalnego obiegu języka publicznego na początku 1996 roku. W konkursie „Gazety Stołecznej” na „przepis na dobrą zabawę” zabrał głos czytelnik, który z gorzką ironią zaproponował wieczorny spacer po Starym Mieście i późniejszą „ucieczkę przed dresiarzami-nożownikami”. W kilka miesięcy później głośne stały się afery związane z warszawską dyskoteką Colosseum, lokalem wówczas bardzo modnym wśród dresiarzy i w ten sposób nagle znaleźli się oni na ustach wszystkich.

„Dresiarz” też człowiek

To, co jest charakterystyczne, to że o dresiarzach mówi się wyłącznie źle. Nigdy wcześniej nie było tak powszechnie zniechęconej subkultury. Nawet o skinach i o ich „świecie prostych, tradycyjnych wartości” sympatyzujące eseje pisali pravicowi intelektualści (patrz: Cezary Michalski „Skini, gorszy rodzaj kontestacji”). Tej niechęci do dresiarzy nie da się wyjaśnić tylko tym, że kojarzy się ich z gangami. Podmiejscy gangsterzy bywają dziś bowiem arbitrami męskiej elegancji. Tak było w Polsce w czasach bikiniarzy i tak jest dzisiaj w Ameryce w czasach hip hop'u. Nawet gitowcy - inna czysto prze-

stępcza subkultura - podpatrywani byli przez młodzież z tzw. dobrych domów. Modne wśród studentów bywało wzbogacanie języka o zapożyczenia z grypsery (np. „szaman” zamiast „jeść”).

Na szczęście od dresiarzy nikt niczego nie zapożycza. Ich obyczaje - na przykład wieszanie płyt kompaktowych w samochodach w naiwnej wierze, że zakłóca to policyjne radary. Także ich ubiór składający się tylko i wyłącznie z dresów markowych firm takich jak np. Adidas. Są oni od dłuższego czasu powszechnym pośmiewiskiem. Byliby nimi zapewne od zawsze, gdyby nie to, że dresiarze są też powszechnym postrachem, są nieobliczalni, szaleni. Z tak wyrobioną opinią są unikani przez „Bogu ducha winną” społeczność.

Trochę historii

Ciekawe, że na wschód od Bugu dresiarze już nie są subkulturą - są normą, a nawet elitą. Protoplastami dresiarzy byli bowiem polscy „handlowi turyści”, którzy objeżdżali w latach 80-tych kraje bloku radzieckiego, handlując czym popadło. Dres był idealnym strojem na ciężką podróż. Dla Niemców na przykład dres stał się znakiem rozpoznawczym wschodnio-europejskiego handlarza, co też wykorzystuje się już w tamtejszej kulturze.

Handlowych turystów uważano za pionierów kapitalizmu w Polsce, dresiarze są już jednak ostatnią wyraźną kulturą pozostałością po komunizmie. O ile uliczna walka np. punków ze skinami, mieści się w ramach szeroko pojętej cywilizacji Zachodu, o tyle dresiarz w tym towarzystwie to przedstawiciel Wschodu. Dlatego zgodnie rzuca się na niego i punk i skin, a także hiphopowiec, metal, de-pesz, szalikowiec, motocyklista i ktokol-wiek, kto będzie przechodzić w pobliżu.

Szara rzeczywistość

Dresiarz nie jest skrępowany wartościami cywilizacyjnymi Zachodu, którym na swój sposób wierni pozostają członkowie innych subkultur. Nawet anarchista, odrzucając ład społeczny, czyni to w sposób świadomy. Dresiarz tym-

czasem ładu społecznego po prostu nie rozumie. Jedynym wyznacznikiem ładu społecznego są dla niego łatwe i szybkie pieniądze, dlatego nosi „markowy” dres i złoty łańcuch na szyi. Bardzo często ma to korzenie w niskiej samoocenie tych osób. Tak naprawdę, dzisiejsi „dresiarze” to osoby z mało zamożnych, a często wręcz z biednych rodzin, którzy w pogoni za łatwym pieniądzem stracili poczucie własnych, podstawowych wartości. Takich, bez których nie da się żyć w społeczeństwie. Chcąc, nie chcąc stali się marginesem i nie można ich nazwać nawet subkulturą, bo nie można w tym przypadku mówić o jakiegokolwiek kulturze. Ostatecznie o jej braku. Starają się wyglądać groźnie i robią to z dobrym skutkiem. Są zdolni pobić, okaleczyć, a nawet zabić. W imię czego? Przecież pieniądze nie są tego warte. Zapewne nigdy się tego nie dowiemy i nikomu nie polecam dociekania prawdy.

Słowo na koniec

Dziś często mawia się, że pieniądze zdetronizowały inne wartości, takie jak wykształcenie, czy zawód. Gdyby tak było naprawdę, wszyscy stalibyśmy się dresiarzami. Tym, co nas od nich odróżnia, jest właśnie uznawanie innych wartości poza pieniędzmi.

Zatem dlaczego tak naprawdę boimy się „dresów”? Wydaje mi się, że w rzeczywistości każdy zna odpowiedź na to pytanie.

Sam: - *Boisz się o swoją skórę ?*

Spence: - *Tak, w końcu okrywa moje ciało...*

„Ronin” - (film sensacyjny prod. USA 1998, reżyseria: John Frankenheimer)

Artykuł pisany na podstawie artykułu Wojciecha Orlińskiego zamieszczonego w Gazecie Wyborczej.
Jan Kowalski

Krwawa dama

„Księżyc, wisi niczym okrutny portret
miękkie wiatry wyszeptują błagania drzew
gdy ta tragedia rozpoczyna się strzaskanym
sercem ze szkła i Północkoszmarnym zszarganiem snów.
Lecz oh, bez łez proszę
Strach i cierpienie winny towarzyszyć
...śmierci.
Lecz oto jest pragnienie które dostarczy
ich z pewnością...
jak dane Nam będzie zobaczyć...”

Daniel Davey

Elizabeth Bathory urodziła się 1560 roku w Transylwanii, zwanej także Siedmiogrodem. Jej rodzina była uważana za najbardziej wpływowy i najpotężniejszy ród, gdyż sprawowała władzę nad znaczną częścią siedmiogrodzkich ziem. Najbardziej znanym członkiem tej rodziny był sam Stefan Bat(h)ory, król Polski w latach 1575 - 1586.

W wieku 14 lat hrabina urodziła, na dworze swojej przyszłej teściowej hrabiny Urszuli Nadasdy, nieślubne dziecko, którego ojcem był najprawdopodobniej chłopiec z pobliskiej wsi. Choć Elizabeth oraz hrabia Ferencz Nadasdy byli zaręczeni już od czterech lat ich ślub odbył się 8 Maja 1575 roku, kiedy hrabina miała skończone 15 lat.

Niespotykanym na owe czasy był fakt, że hrabia przyjął nazwisko swojej małżonki - Bathory. Elizabeth mieszkała razem z hrabią oraz swoją teściową w zamku Csejthe w Nyitri, jednakże Ferencz wolał pole bitwy od życia rodzinnego i rzadko bywał w swym pałacu. Dzięki swoim poczynaniom uzyskał przydomek Czarnego Bohatera Węgier.

Podczas, gdy hrabia odbywał wojenne wyprawy, hrabina zaczęła odwiedzać swoją, słynącą z homoseksualnych upodobań, ciotkę - hrabinę Klare Bathory. Gdzie niejednokrotnie brała udział w kobiecych orgiach. Wtedy to poznała swoje prawdziwe upodobania - zadawanie bólu pięknym, młodym dziewczętom.

Podczas nieobecności hrabiego, służący Bathory - Thoroko, zainteresował młodą dziewczynę ciemnymi mocami. Nauczał ją Czarnej Magii, umacniając tym samym jej sadystyczne skłonności. W jednym z listów do swojego męża hrabina napisała: „Thoroko nauczył mnie

nowego czaru: Złap czarną kurę i użyj czarnej trzciny, by ją zabić. Następnie, zgromadź jej krew, by móc ją wsmarować w ciało wroga swego, a gdy nie nadarzy się ku temu okazja, zdobądź szaty swego wroga i wsmaruj w nie krew”.

Gdy hrabina zaczęła się pokazywać u boku ubierającego się na czarno człowieka o bladej cerze, czarnych oczach oraz nienaturalnie ostrych zębach, wierzący w wampiry wieśniacy zaczęli się niepokoić. Gdy hrabina powracała od nieznanego kilku poddanych twierdziło, że na ustach Elizabeth widoczne były ślady krwi. Hrabina zafascynowała się swym służącym do tego stopnia, że wraz z nim postanowiła uciec z zamku. Jednak po pewnym czasie wróciła i uzyskała przebaczenie męża.

W zacisku swego zamku, hrabina wraz z jej byłą opiekunką Ilona Joo, dwoma czarownicami Darvula i Dorottya Szentes zaczęła znęcać się nad swoimi służącymi. Pomagał jej też karzeł Johannes Ujavary, który wkrótce stał się głównym nadzorcą tortur. Dziewczyny były chwywane i prowadzone do podziemnego lochu, zwanego „Komnatą Tortur Jaśnie Pani”, gdzie były poddawane najokrutniejszym torturom, jakie tylko można było wynaleźć. Pod pretekstem karania służących, za drobne przewinienia, Bathory używała rozpalonego żelaza, roztopionego wosku oraz różnego rodzaju noży, by przelewać ich krew. Wkrótce zaczęła atakować związane ofiary swoimi zębami, odgryzając im kawałki ciała z szyji, ramion i policzków. Jej rządziła krwi ciągle rosła. Do tortur zaczęła używać brzytw, pochodni oraz wykonanych na zamówienie srebrnych szczypiec.

Elizabeth Bathory była kobietą



o niespotykanej urodzie. Jej kruczoczarne włosy kontrastowały z jej mleczną cerą. Jej oczy miały kolor bursztynu, a jej figura była niespotykane zmysłowa. Próżność hrabiny i jej samouielbienie doprowadzały ją do coraz to nowych zbrodni.

Gdy Elizabeth zaczęła odczuwać piętno starości, a jej uroda zaczęła maleć, starała się ten fakt ukryć używając kosmetyków oraz drogich ubrań. Jednakże nic nie mogło powstrzymać powiększających się zmarszczek na jej twarzy. Pewnego dnia chcąc ukarać swoją służącą Elizabeth uderzyła ją w twarz. Krew ze złamanego nosa służącej ubrudziła twarz hrabiny. Po zmyciu krwi hrabina patrząc w lustro spostrzegła cud. W oczach Elizabeth, w miejscach gdzie była krew, skóra straciła oznaki starości. Bathory była pewna, że znalazła cudowny eliksir młodości.

Przez kolejne dziesięć lat hrabina sprowadzała na dwór mnóstwo pięknych, młodych dziewczyn, które mordowała, by mieć coraz więcej „szlachetnej cieczy”. Krew służących była trzymana w beczkach, by Bathory mogła wykorzystać ją do kąpeli. Po takiej kuracji miała odzyskiwać swoją młodość oraz dawny blask. Zdarzało się że, młode dziewczyny były więzione w klatkach, zawieszonych pod sufitem i przebijane ostrymi narzędziami, by zapewnić Elizabeth krwawy prysznic. Większość dziewcząt torturowanych przez hrabinę była pochodzenia chłopackiego, ale zdarzało się, że Bathory zapraszała na swój dwór również piękne szlachcianki z uboższych rodów. Szacuje się, że podczas jej krwawych rządów zginęło ponad 600 młodych dziewcząt.

Pewnego dnia pogłoski doszły do króla węgierskiego Mathiasa. Gdy dowiedział się, co dzieje się na zamku Eliza-

beth Bathory, zlecił hrabiemu Cuyorgy Thurzo (kuzyn Elizabeth Bathory) dokonanie najazdu na zamek Csejthe. Najazd miał miejsce 30 grudnia 1610 roku. Kiedy władze dostały się do wnętrza zamku ich oczom ukazał się przerażający widok. W jednej z komnat odnaleziono zupełnie pozbawione krwi ciało kobiety, w innej natomiast znaleziono żyjącą jeszcze młodą kobietę z podziurawionym ciałem. W lochach odkryto jeszcze kilka dziewczyn noszących ślady tortur. Po dłuższych poszukiwaniach, wokół zamku odnaleziono ok. 50 zwłok. Hrabina została aresztowana i w 1611 roku rozpoczęto proces przeciwko niej.

„Świt odkrył ją tam
Pod spojrzeniem Cedru
Jedwabna suknia podarta, Jej
kruźce włosy
Spłynęły, by odziać Jej obnażone
piękno
Pokryte szronem, wiedziałem, że
jest stracona

Plakałem aż łzy przemieniły się
w modlitwę.”

Wszystkie osoby towarzyszące hrabinie podczas morderstw, zostały ścięte prócz Dorotty Szentes oraz Ilony Joo, które zostały spalone żywcem. Sama Elizabeth Bathory nigdy nie była skazana. Sąd natomiast nakazał zamurować okna i drzwi w zamku wraz z hrabiną w środku, zostawiając tylko mały otwór, przez który podawano jej jedzenie. Wyroku jednak nigdy nie dokonano, gdyż „Krwawa Dama” zmarła 14 sierpnia 1614 roku w samotności swego zamczyska.

„Królowa Śniegu...
Daleko ponad porównanie
Usta dostrojone do symetrii
Wszędzie Jej szukałem
Ozdobionych oczu
Arabskiego koszmaru...

Ona była opętana Erzulią
O mlecznobiałej skórze
Mój porcelanowy Yin

Pełen wdzięku Anioł Grzechu...

Ona lśniła w barwach akwareli
Niczym perła na mym łonie
Aż ci którzy nie mogli Jej mieć
Uwolnili Ją od tego Świata...”

*Na podstawie tekstu autorstwa:
Mergalt*

Adrian Jaszczyk

Bibliografia:

<http://www.oxy.edu/~dameron/occult/bathory.html>;
<http://www.crimelibrary.com/serial8/bathory/index.htm>;
<http://www.pathwaytodarkness.com/facts/index.html>
Cytaty z utworu „Her Ghost In The Fog”
Cradle Of Filth.

Świeże, dobre kino - gorąco polecam

„- Myślisz, że pokażą co z niego zostało?
- Nie wiem stary, chyba nie.
- O jednak pokazali, ale niewiele tego jest.”

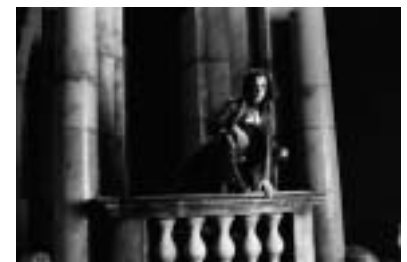
Czasami bywają takie dni w życiu, czy właściwie w egzystencji wampira, kiedy ma ochotę zabijać. Właśnie o tym traktuje najnowszy film Lena Wisemana pt. „Underworld”. Jak wiele filmów, czy książek o wampirach, tak wiele różnych koncepcji i pomysłów. I kiedy wydaje się, że już wszystkie zostały wykorzystane i powielone, pojawia się zazwyczaj nowa, inna, często lepsza adaptacja o „nie umarłych”. W wielkim skrócie na Ziemi obok siebie, niezauważone przez ludzi, koegzystowały dwie potężne rasy: wampirów i lycan. Obie rasy zostały poróżnione i w wyniku pewnych zdarzeń rozpoczynają długą i krwawą wojnę. Lycanie pobici i zdziesiątkowani próbują przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Skutecznie przeszkadza im wampirzyca Selena - w tej roli Kate Beckinsale. W wir walk zostaje wplątany, nie przypadkowo, młody człowiek Michael, który okazuje się być kluczem do zwycięstwa. Nie może oczywiście zabraknąć wątku miłosegno i tak wampirzyca zakochuje się w wilkołaku i tragedia gotowa. Tymczasem w rodzie wampirów ktoś zaczyna nie-

bezpieczną i ryzykowną grę, ale to tylko namiastka opowieści ...

Oryginalny i nietuzinkowy film. Ciekawy pomysł i adaptacja. Obowiązkowa pozycja dla fanów fantastyki i nie tylko. „Underground” trzyma w napięciu, fascynuje zawilnością intrygi oraz efektami, których twórcom należą się najwyższe



uznania. Dobre wrażenie daje gra aktorska. Obsada, chociaż nieznaną, dobrze radzi sobie z oddaniem klimatu i sprawia, że widz z niecierpliwością czeka na następną scenę. Nieprawdopodobny klimat



daje również muzyka, która jest dziełem najwyższej próby i doskonale pasuje do całej oprawy, właściwie nawet nie tylko pasuje, a tę oprawę tworzy. Szybkie utwory różnych artystów ,co prawda były już wykorzystane w innych produkcjach takich jak np. „Szakal”, ale jest to jednak jedyny minus na liście komplementów, którymi można twórców muzyki obdarzyć.

Świetnie zaaranżowana kolorystyka, dobrze dobrane lokacje oraz niezłe, choć może trochę zbyt matrixowe kostiumy wpływają na mroczny i czarujący klimat filmu. Pomimo szybkiego tempa akcji, spójna i tajemnicza na początku fabuła szybko wciąga widza i przenosi go w świat mroku. Gorąco polecam zarówno fanom gatunku jak i zwykłym kinomaniakom. Dobrze wydane pieniądze, gwarancja dobrej zabawy, majstersztyk nowej ery filmów o losach nieumarłych. Pójdź i zdecyduj : Po której jesteś stronie?

Iceman

Benjamin Hoff

„Tao Kubusia Puchatka” i „Te Prosiaczka”

„Jak ja jestem sobą, tak ty jesteś tobą.

Każdy to widzi jasno.

Ale kiedy zaczniesz robić

Rzeczy, które możesz zrobić,

Znajdziesz wówczas Drogę,

A Droga za tobą podąży.”

Tao Kubusia Puchatka i Te Prosiaczka reakcją autora na mylną identyfikację taoizmu jako tylko i wyłącznie filozofii chińskiej.

Tao Kubusia Puchatka ujawnia, że jeden z największych mistrzów taoizmu nie jest Chińczykiem, ani czcigodnym filozofem, ale w rzeczywistości jest nikim innym jak tylko prostym miśm, stworzonym przez A. A. Milne'a –Kubusiem Puchatkiem!

Benjamin Hoff analizując jego proste zachowania, wyjaśnia zagadnienia natury filozoficznej - „zasady taoizmu tłumaczy poprzez Kubusia Puchatka, a Kubusia Puchatka poprzez zasady taoizmu”.

Podczas gdy Kłapouchy wszystkim się zadrećza, a prosiaczek nie może się zdecydować, królik wszystko kalkuluje, natomiast Sowa wygłasza wyrocznie... Puchatek po prostu jest. I to właśnie stanowi klucz do tajemnej mądrości taoizmu.

„Te Prosiaczka”, w którym wielką mądrość taoizmu odkryje tym razem postać Prosiaczka, stworzona przez A.A. Milne'a, jest kontynuacją rozważań zawartych w „Tao Kubusia Pu-

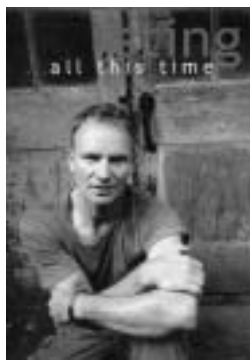
chatka”. Prosiaczek - uosabiający taoistyczny ideał cnoty, która w taoizmie jest pewną szczególną cechą, mocą duchową albo ukrytą zdolnością, wyjątkową dla danej osoby (jest to coś, co pochodzi z wewnętrznej natury rzeczy, czego posiadania może być ona kompletnie nieświadoma) - swoją małą osobą daje bardzo wiele. Albowiem lepiej niż porywczy Tygrys albo marudny Kłapouchy, albo przemądrzała Sowa, a nawet miłusiński Puchatek, uosabia bardzo ważną zasadę taoizmu: Te- po chińsku oznacza cnotę tego, co małe.

Książki B.Hoffa „Tao Kubusia Puchatka”, „Te Prosiaczka” napisane są w sposób bardzo ciekawy, wydawałoby się „małoskomplikowany”. Zawierają liczne rysunki - szkice, pisane są w formie interesujących dialogów. Książki te skierowane są - wbrew pozorom - tylko do określonej grupy czytelników - myślących, inteligentnych, potrafiących z banalnej sytuacji, bądź „powiedzonka” odczytać właściwe przesłanie autora, dostrzec głębie i sens poszczególnych elementów, z których składa się pewna całość. Serdecznie polecam Hoffa tym, którzy ciągle poszukują niepowtarzalnych i unikatowych tekstów mających na celu zaspokojenie „głodu” intelektualnego.

Kamila Pietnica

Magiczna podróż w świat błogich rytmów...

„...All this time”



Sting należy niewątpliwie do grona utytułowanych artystów światowej sceny muzycznej. Od samego początku swej kariery, zarówno z grupą „The Police”,

jak i solo, dokonywał rzeczy wręcz cudownych i niepowtarzalnych, i tak stało się też tym razem.

Album „All this time” ukazał się w roku 2001, jako zapis z koncertu Singa, który odbył się we Włoszech, dokładnie w dniu ataku na nowojorskie wieżę WTC, co również odbiło się na klimacie tego wieczora. W niedługim czasie po ukazaniu się płyty CD, w USA, a trochę później w Polsce ukazał się niepowtarzalny album DVD, który oprócz zapisu samego występu artysty wraz z jego przyjaciółmi, zawiera dodatkowe fragmenty

z prób zespoły, teledyski oraz zwierzenia samego Stinga oraz muzyków towarzyszących mu przy nagraniach, niemalże przez cały okres wakacji 2001. Kolejną zaletą edycji DVD „All this time” jest niesamowity obraz i dźwięk w systemie „Dolby Digital”, które doskonale oddają klimat koncertu, nagranych w większości „unplugged”.

Stare i dobre....

Stwierdzenie to całkowicie oddaje przesłanie albumu, bo i koncertowe utwory to w większości przeboje The Police oraz dobrze znane kompozycje solowe Stinga, ale przybrane w zupełnie nową - zapierającą dech w piersiach szatę muzyczną. Dobrze znane „Filed of gold” brzmią zupełnie inaczej zagrane przy akompaniamencie wiolonczeli i akustycznej gitary, a oszałamiająca „Roxanne” maluje się nam jako zupełnie inna, nieznana kobieta. Zasluga w tym niewątpliwie Stinga, jako kompozytora i reżysera koncertu, jednak należy także oddać honor zespołowi doskonałych muzyków -

zawodowców przez duże „Z” (choćby Chris Botti, grający tu na instrumentach dętych - recenzja jego solowej płyty ukazała się w „MM” w zeszłym miesiącu). Dopracowane do perfekcji interpretacje utworów kolejno po sobie zlewają się w doskonale zgraną całość, a dobrze znane nam hity z tamtych lat przybierają nową formę, muzyczną jak i wizualną co stanowi nie lada atrakcję, na tak monotonnym polskim rynku muzycznym.

Ciągle lepszy

Sting stale zadziwia nas coraz doskonalszym scenicznym graniem, co nie zdarza się często pośród „konkurencji”. Pomimo jego pięćdziesiątki ciągle zaskakuje świat nowymi, wykwiłntnymi i dalekimi od taniej komercyjnej kompozycjami. Album „All this time”, ukazał się w dniu, kiedy cała ludzkość wstrząśnięta była wydarzeniami września w USA, i pomimo tego, został przez ludzi przyjęty niesłychanie ciepło. Jest to dowodem tego, że to właśnie taka muzyka, poukładana, spokojna i jednocześnie tak bardzo nie komercyjna, jest w stanie przywrócić normalność, przynajmniej na płaszczyźnie kulturalnej, a może nawet i wyższej.

Bartosz Banduła

Turystyka

„Możesz utracić w życiu wszystko, ale nikt nie zabierze ci tego, co w życiu przeżyłeś i zobaczyłeś...”

Podróż dookoła świata

W.D

Australia – moje marzenie

Nie!!! - to przecież niemożliwe. To jakaś zupełna abstrakcja, pomieszanie snu i jawy. To nie dla nas, to coś czego nie da się zrobić. No może innym to się udaje, ale to jest zupełnie poza moim – naszym - zasięgiem.

Tak myśli chyba większość naszych rówieśników, gdy o takiej podróży pomyśli czytając np. pasjonującą powieść przygodową lub oglądając reportaże telewizyjne o podróżach ludzi, którzy „zjeździli” cały świat. Im najczęściej udawało się zrealizować swe marzenia właśnie dzięki temu, że nie wiedzieli, że jest to niemożliwe lub też dlatego, że nie uwierzyli innym którzy tak twierdzili.

Tak też było w naszym przypadku. Sam pomysł wydał nam się jednak tak atrakcyjny, że nie pozwalał o sobie zapomnieć i przez cały czas nas prześladował.

Sami jeszcze nie za bardzo wierzymy, że największe marzenie naszego życia już niedługo stanie się rzeczywistością. Jedno co przychodzi mi do głowy i cały czas się po niej kołata, to właśnie ta dewiza, która prowadziła nas przez ostatnie lata naszego życia i nakreślała do pozytywnego myślenia i działania:

**„...marzenia są po to,
żeby je realizować”**

Ta sentencja czerpie źródło m.in. z myśli chińskiego filozofa Wang Czunga – „Kto zamyka swoje serce i swój umysł, nigdy na nic z wysoka nie spoglądając, jest jak umarły”.

No, ale może od początku. Jesteśmy dwojgiem bardzo młodych ludzi, którzy odkąd się poznali, nie wyobrażają sobie życia bez siebie. Pochodzimy z blisko 20-sto tysięcznego miasteczka – kurortu – Buska Zdroju. Skończyliśmy w rodzinnym mieście tą samą szkołę średnią tj. Zespół Szkół Ekonomicznych, w której to podczas pobierania nauki, poznaliśmy się i postanowiliśmy resztę życia spędzić razem. Po ukończeniu szkoły średniej kontynuowaliśmy naukę na WSZiB, ja już uzyskałem dyplom, natomiast moja żona już wkrótce także boni pracę dyplomową. Ja mam na imię Krzychu i mam 23 lata, a moja kochana żona Kasia ma lat 22. Mieszkamy w Krakowie i tutaj zamierza-

my spędzić główną część swego życia – tu będzie nasza baza wypadowa w przypadku realizacji naszych kolejnych planów.

Kochamy: siebie nawzajem, innych ludzi i pragniemy poznać świat dla poznawania tychże – bez względu na ich kolor skóry, przekonania, tradycje i zwyczaje. Oczywiście o ile nie okażą się kanibalami, gdyż wówczas nie moglibyśmy dzielić się z Wami wrażeniami. Trupy są z reguły śmiertelnie poważnymi milczkami.

Uważamy, że im więcej różnych i bardzo różniących się od siebie i od nas ludzi poznamy, tym lepiej. Tym bardziej nas to wzbogaci i utwierdzi w przekonaniu, że fajnie jest się pięknie różnić.

Zrealizować tak postawiony cel, pozwoli nam planowana w roku 2004 podróż po wybranych krajach Azji, Australii i Oceanii oraz Ameryki Północnej oraz kontynuacja przygody w latach następnych. Już po realizacji najbliższej podróży będziemy mogli śmiało stwierdzić, że zrealizowaliśmy ambitny, przerstający wyobraźnię niejednego człowieka plan – zaliczyliśmy podróż dookoła świata. Bowiemy faktycznie kulę ziemską objeździemy oblecimy dookoła (rowerami, pociągami, autobusami i Bóg raczy wiedzieć czym jeszcze). Zatoczmy cudowny okrąg.

Do chwili obecnej, dzięki olbrzymiej pasji podróżowania, pomimo młodego wieku, udało nam się zwiedzić kilkanaście krajów Europy (od Uralu do Pirenejów), trzykrotnie odbyć podróż do Stanów Zjednoczonych (Kasia mieszkała tam i uczyła

się przez jeden rok), a teraz prowadzimy bardzo intensywne przygotowania do najważniejszego projektu naszego życia (chyba przed każdą podróżą tak myśleliśmy).

W te nasze marzenia o podróżowaniu i poznawaniu świata wspaniale wpisały się nasze zaręczyny – poprosiłem Kasię o rękę na progu katedry Notre Dame w Paryżu witając kolejne Millennium - czyż to nie był cudowny początek Naszego Nowego Tysiąclecia i naszej wspólnej podróży przez życie?

Podróż dookoła świata jest marzeniem chyba każdego młodego człowieka – nie tylko przyszłego multi-podróżnika. W naszym przypadku było podobnie. Odkąd zaczęliśmy się „włóczyć” po świecie, uczestniczyć w spotkaniach z podróżnikami, gdzieś tam daleko na horyzoncie marzeń pojawiła się myśl, że może i my kiedyś spróbujemy, że może i nam się uda.

Marzenie zaczęło się konkretyzować gdy zastanawialiśmy się jak powin-



Krzysztof Bednarski.



Katarzyna Bednarska.

na wyglądać nasza podróż poślubna. Ponieważ postanowiliśmy, że podróż ta ma być niezapomnianym i wspaniałym przeżyciem, pierwsza myśl jaka nam przyszła do głowy to podróż do Nowej Zelandii - przecież jest to kraj najdalej położony od Polski i miejsce osławione jako raj na ziemi.

Jako młody - 9-cioletni - dzieciak spotkałem w domu moich rodziców ich starszego znajomego - Pana Ferdynanda - który po pięćdziesięcioletniej tułaczce powrócił na kilka miesięcy do Polski - ojczystego kraju swej młodości (od tamtego czasu do Polski przyjeżdża corocznie). Po wybuchu wojny rozpoczął swą tułaczkę za chlebem i po „zaliczeniu” krajów Europy Zachodniej, obu Ameryk i Australii osiadł w Nowej Zelandii. To od Niego pierwszy raz usłyszałem, że Nowa Zelandia to raj na ziemi. Kasia również miała okazję poznać Pana Ferdynanda i słuchać jego pasjonujących opowieści. W trakcie podróży zamierzamy Go odwiedzić - tym razem to my będziemy opowiadali.

Kiedyś Olgierd Budrewicz powiedział : „Tam gdzie kończy się świat, zaczyna się Nowa Zelandia”. Uznaliśmy, że musimy to zobaczyć i przekonać się o tym pięknie na własne oczy. Swe marze-

nia postanowiliśmy przekuć w czyn. No i zaczęło się!!! Środki na ten cel zbieraliśmy już w czasie studiów, kiedy to ja studiując w systemie dziennym pracowałem popołudniami i nocami w „Telepizy”, a Kasia dorabiała pracą w supermarketach. W wakacje pracowaliśmy ze zdwojoną energią, żyjąc skromnie i odkładając znaczną część zarobionych pieniędzy na przyszłą podróż.

Gdy uznaliśmy, że zebraliśmy forszę na przelot i skromne przeżycie przez kilka miesięcy, przygotowania ruszyły pełną parą. Szczegółowe planowanie przedsięwzięcia rozpoczęliśmy od zbierania informacji - poszukiwania przewodników (część została kupiona w Londynie, gdyż niektóre z planowanych etapów naszej podróży są tak rzadko odwiedzane przez turystów z Polski, że na naszym rynku nie ma przewodników o nich), nieustannego „grzebania” w sieci, szukania najtańszego biletu itd. Właśnie bilet stał się „sprawcą” wzbogacenia naszych pierwotnych planów.

Udało nam się znaleźć bardzo ciekawą ofertę, która gwarantuje dziesięć lotów, obejmujących cztery kontynenty i pozwoli zamknąć pętlę dookoła naszego globu, za cenę niewiele większą od standardowego biletu do Nowej Zelandii. No i jak tu z takiej oferty nie skorzystać.

Dzięki niej będziemy mogli spędzić kilka tygodni w Azji, w Australii i Oceanii - na Wyspach Cooka, Tahiti, Nowej Zelandii, a następnie wylądować na terenie Stanów Zjednoczonych (tym razem na zachodnim wybrzeżu - myślimy o obejrzeniu Wielkiego Kanionu Kolorado, zwiedzeniu Parku Yellow Stown). W ten sposób, wracając do kraju zatoczy my pełną pętlę dookoła naszego globu.

Wierzmy, że podróż ta będzie największą przygodą naszego życia, a to co przeżyjemy i zobaczymy zostanie w na-

szych wspomnieniach i sercach na zawsze. Wierzmy również, że najbliższa podróż jest początkiem naszego penetrowania najciekawszych i najpiękniejszych zakamarków świata, a przecież po tej podróży, gdzie byśmy się nie ruszyli, to i tak cel podróży będzie bliższy, gdyż najdalszy zakątek obejrzymy i zwiedzimy w ciągu najbliższych kilku miesięcy.

Wyjeżdżamy zabierając ze sobą maksyml naszego ulubionego bohatera - Foresta Gumpa - który twierdził m.in.: „Zawsze miej przy sobie tyle forsy, żebyś mógł zadzwonić z automatu i skorzystać z kibla” (to znaczy, że wcale nie tak wiele - tyle mamy), oraz „Bywają chwile, kiedy nie można słuchać głosu rozsądku” (gdybyśmy słuchali to pewnie najbliższe lata spędzilibyśmy na szukaniu „małej stabilizacji”).

Chcieliśmy wszystkich czytelników bardzo gorąco namówić do czytania naszych relacji z podróży, które dzięki ogromnej pomocy Rektora Wyższej Szkoły Zarządzania i Bankowości w Krakowie, prof. dr hab. Włodzimierza Roszcynialskiego będą się mogły pojawiać na stronie internetowej naszej szkoły oraz na łamach „Multis Multum”.

Serdecznie pragniemy podziękować Władzom Uczelni również za wsparcie finansowe. Pozwoliło ono nam wzbogacić program naszego wyjazdu. Udział WSZiB w naszym przedsięwzięciu ma również niewymierny wyraz - to właśnie lata spędzone w naszej szkole w dużej mierze nas ukształtowały. To na naszej Uczelni - WSZiB w Krakowie - nauczyliśmy się wierzyć, że nie ma rzeczy niemożliwych, że wszystko - lub prawie wszystko - w życiu zależy od nas samych, że siedzenie i marudzenie: „jak to źle na świecie”, jeszcze nikomu nie pozwoliło realizować marzeń. A my wiemy, że przynajmniej próbować warto.

Pozdrawiamy Was wszystkich gorąco i do następnego razu.

Krzysztof Bednarski

IN ajlla pszy wybrór w najllepszym czasie



DZIENNIK POLSKI

CROSSO
profesjonalne sakwy rowerowe

bikeBoard



AUTHOR

onet.pl

PolarSport

Turystyka

Rzymski odpoczynek

We Włoszech kobiety naprawdę mogą czuć się pięknie, zwłaszcza, gdy codziennie wiele razy od znajomych i nieznanymi mężczyzn słyszą na powitanie wieczne: „Ciao, bella.”

Gdzie to jest?

Włochy to państwo w południowej Europie, leżące na Półwyspie Apenińskim nad Morzami: Śródziemnym, Tyrreńskim, Jońskim, Adriatyckim. Obejmuje również wyspy: Sycylię oraz Sycylię. Graniczy na zachodzie z Francją, na północy ze Szwajcarią i Austrią, na wschodzie ze Słowenią. Na terytorium Włoch znajdują się dwie enklawy - San Marino i Watykan, do Włoch należy również cała enklawa Campione w Szwajcarii. Jednym z najsłynniejszych i najważniejszych miast włoskich jest Rzym. Położony na 7 wzgórzach, nad rzeką Tyber.

Uno momento! Nie rozumiem...

Mieszkańcy Półwyspu Apenińskiego są bardzo przywiązani do miejsca, w którym się urodzili. To lokalni patrioci. Rzadko mówią: „Jestem Włochem”, mawiają raczej: „Pochodzę z Rzymu, Mediolanu, Wenecji etc.”. Italia dla Włochów to po prostu kraj zjednoczony przez Garibaldiego i na tym koniec. Ten naród nawet swój hymn zna piąte przez dziesiąte, co zresztą widać było na Mundialu w Korei. W Italii istnieje niezliczona ilość dialektów, dlatego przeciętny Włoch raczej nie posługuje się językiem literackim. Tak jest po prostu praktyczniej - można okazać emocje, uczucia Mieszkaniec Mediolanu nigdy nie zrozumie neapolitańczyka. Posługuje się prostym przykładem, słowo dziecko po włosku to bambino, natomiast mieszkańcy Vicenzy powiedzą boccia, a dla jeszcze innych to tosetto. Perfekcyjnie po włosku mówią przeważnie tylko obcokrajowcy.

Cappuccino, czy espresso?

Wyobraźcie sobie lipiec, pałac słońce i błękitne niebo. Późnym rankiem budzi was miło ostry zapach kawy wdzierający się do pokoju i słodka fala powietrza pachnącego cappuccino i cornetto(...) To typowe włoskie śniadanie. Większość Włochów jada śniadania w tym samym barze od lat. To znakomity pretekst, by spotkać się ze znajomymi,

porozmawiać - wymienić ploteczki. Kiedy się wchodzi słychać: tylko: „Cappuccino!, Cappuccino letnie!, Cappuccino bez pianki!, Długie espresso!, Espresso cornetto!”. Brzmi to wręcz jak wielobarwne melorecytacje przekrzykujących się ludzi. Picie kawy to wielka tradycja, więc warto pamiętać, że cappuccino nie posypuje się kakao, czy cynamonem, a pije się je tylko rano, a później dopiero około siedemnastej, żeby „spaccare la fame” - zabić uczucie głodu. Ogromnym nietaktem jest zamówienie cappuccino zaraz po posiłku. Natomiast każda pora jest dobra, by przybarze wypić szybko espresso.

Bez czego Włoch się nie obejdzie?

Oczywiście bez talerza makaronu każdego dnia i to koniecznie al dente, czyli lekko niedogotowanego. Jest jeden niezwykle zwyczaj na południu Włoch. Po sobotnich imprezach około czwartej nad ranem całą paczką jedzie się do domu jednego z przyjaciół i tam ... gotuje spaghetti aglio, olio, peperoncino”, czyli makaron na białą z czosnkiem, oliwą i ostrą papryką. Pycha! To właśnie posiłki wyznaczają rytm życia w Italii. Restauracje są zamykane około 14:30, a ponownie otwierane o 19:30. I nie wierzcie w to, że Włosi tak często jedzą pizzę! Nie wściecie się nawet o pytać, bo zostaniecie po prostu wyśmiani. Ten naród kocha biesiadować, zajadać się specjałami, a przy tym wypić lampkę dobrego wina. Potrawy śródziemnomorskie są ich zdaniem najlepsze na świecie. Uważają, że przy stole można załatwić różne sprawy i zakopać topór wojenny. W ciągu ostatnich trzydziestu lat produkcja wina nigdy nie spadła poniżej 50 milionów hektolitrowo rocznie. Włosi rozkoszują się tym napojem, pijąc go prawie do każdego posiłku.

Jak to pachnie?

Na ulicach często słychać: „Ciao, bella”, co oznacza „Witaj piękna”. Włosi wyjątkowo umiejętnie potrafią zabiegać o względy płci pięknej, co oczywiście kobietom sprawia ogromną przyjemność. Wszystkie Włoszki (a w zasadzie nie tylko



Włoszki), niezależnie od wieku, chcą być piękne, zadbane, podziwiane. Ich motto brzmi: „Kiedy jesteś elegancka, to czujesz, że żyjesz”. Jak większość kobiet kochają zakupy, buszowanie po perfumeriach i salonach piękności. W włoskich perfumeriach już na samo „dzień dobry” otrzymuje się 20% bonifikaty na kosmetyki, a klientka czuje się tam najważniejsza jak najważniejsza na świecie dama. Najzabawniejsze jest to, że sprzedawcy pamiętają nawet tych klientów, którzy odwiedzili ich dawno temu, a do tego potrafią dokładnie określić jaki rodzaj perfum wybrali!

Jak jeździsz, idioto?!

Nie jest prawdą, że Włosi prowadzą samochód jak szaleńcy i cały czas używają klaksonów. Należy jednak zauważyć, że wszechobecnie używane przez nich motorynki i skutery wciskają się wszędzie, w największe korki i najmniejsze miejsca parkingowe. Czego Włoch nie dopowie, to na pewno „domacha”. Niemalże każde słowo ma swój odpowiednik w gestach. Zagubionemu turyście z pewnością pomogą - bez obawy. Są ludźmi, którzy wierzą w różnego rodzaju zabobony, czarne koty, rozbite lustra, przechodzenie pod drabiną, spotykane zakonnice etc. Przyznam, że potrzeba wiele czasu, by zrozumieć ten naród, jego fobie, różnego rodzaju fanaberie i dziwactwa.

Warto tam pojechać

Włosi są ludźmi niezwykle otwartymi, spontanicznymi, uśmiechniętymi, gościnnymi i bez kompleksów. Ich podejście do życia jest wręcz hedonistyczne. Są głośni, próżni i nie zawsze dotrzymują słowa. Italia jest jednak cudowną krainą. Niestety czytając ten lub jakikolwiek inny artykuł nie poznacie smaku prawdziwego cappuccino, ani też uroków krajobrazu Włoch. Jeżeli w przyszłości będziecie w tym malowniczym miejscu wejdźcie do baru i krzyknijcie: „Uno cappuccino e cornetto, per favore”.

Marta Radochońska

Poczuj go...

Zabobonna wiara w wampiry jest szeroko rozpowszechniona. Jednak racjonalnie nastawieni ludzie skłaniają się do przekonania, że wampiry nie istnieją. W istocie ich wrodzony rozsądek działa jak czosnek, chroniący przed ukąszeniem wampira. My, normalni Transylwańczycy, żyjemy w słodkim poczuciu zagrożenia Mazdą RX-7.

Prawda brzmi bowiem, że jest to wampir z Wanklem, a jego ukąszenie zniewala.

Wampir z Wanklem? Zabawne. Tak, wszystkie symptomy na to wskazują, a potwierdzają to też jego ofiary. Pierwsze ukąszenie następowało przeważnie prawie niepostrzeżenie. Jego silnik zabiera się do dzieła tak błyskawicznie i łagodnie, że kierowca staje się od pierwszego zrywu uzależniony. W tym stanie odurzenia wybacza swojemu RX-7 nawet olbrzymie pragnienie (chodzi o spalanie), gotowy pozwolić na wysssanie z siebie ostatniej kropli. Jest to do wód numer dwa no to, że RX-7 jest wampirem. Jego silnik Wankla tak samo mocno pragnie dystrybutora z benzyną, jak hrabia Dracula białych dziewczęcych szyj. Wreszcie ostatni, trzeci do wód: Mazda została uznana za pogrzebaną. Wielu licencjobiorców już przekląło Wankla, ponieważ mimo licznych zainwestowanych milionów, nie udało się odzwyczaić go od nadmiernego zu-



Mazda RX - 7

życia paliwa. Konsensus: RX-7 - wampir z Wanklem - został zdemaskowany.

Mogliśmy się tego spodziewać już w 1992 roku, gdy Mazda przedstawiła trzecią generację RX-7. 239 KM, biturbo, już nie dynamiczne autko coupé - jak poprzedniczka - lecz drapieźnik. Tylny spojler z dwoma wcięciami uniesiony niczym kofinierz płaszcza w otwartej paszczy chłodnicy wyszczerzone kły. Oto pojazd Draculi, gotowy do wyjazdu w nocy.

Niemożliwe, żeby zaliczać Mazdę do tych blaszanych straszdeł, które

Japończycy zaprezentowali, jako auta sportowe. RX-7 to niekwestionowany macho, którego „nos” dzięki płasko umieszczonego Wanklowi węży nisko nad ziemią. Błotniki uwypuklają te bezwstydne mięśnie, które w „grzecznym” MX-5 zostały zaledwie zaznaczone. Nawet dach jest zaokrąglony z dwiema delikatnymi wypukłościami. Znaczący natychmiast wykrzykną: Zagato. Jasne, że stylisci Mazdy co nieco zwędzili. Gdzieś między Włochami i Stanami Zjednoczonymi, między Ferrari i Cobrą. Czynie to jednak z gorącym sercem i stworzyli klasyczny

Grobowiec z dwoma miejscami leżącymi, starannie oddzielonymi wysokim jak mur tunelem środkowym. Ostatnio poczeroniono nawet chromowane obręcze wokół wskaźników. Teraz błyszczą już tylko krwiste czerwone wskazówki kolekcji zegarów, przypominających „Nautiliusa” kapitana Nemo. O wiele za duża obręcz kierownicy wypełniona jest orgią krągłości i czerwieni. Na zewnątrz uśpione „oczy” reflektorów budzą się dopiero wtedy, gdy porządni ludzie kładą się na spoczynek. Dracula podróżuje stylowo.

I cicho, bardzo cicho. W RX-7

nie łomczą cztery tłoki, ani sześć, ani osiem. Nie, mniej więcej trójkątny tłok kręci się dookoła samego siebie. Zgodnie z tą samą zasadą jak w NSU Spiderze i Ro 80, tylko o wiele bardziej niezawodnie. Wankel Mazdy wytrzymał w wyścigu w Le Mans 24 godziny, aż do zwycięstwa w Stanach Zjednoczonych. Japończycy dali gwarancję na swój silnik na 100 000 mil, nie kilometrów!

Każdej mili towarzyszy to niesamowite brzmienie. Wirujący tłok robi mniej hałasu, niż taki, który porusza się w górę i w dół. Tak dzwiczą fanfary dla posiadaczy jedynej w swoim rodzaju na świecie rozwiązania technicznego - śpiew, dalekie trąby grupy trębaczy z tłumikami. Prawie bezdźwięcznie jak uderzenia skrzydeł nietoperza.

Dziwne, że mimo tej ciszy Japończycy wbudowali gong, który odzywa się za każdym razem, gdy wskazówka obrotomierza przekracza kreskę oznaczają-

model. Wampir z Wanklem przeżyje nie tylko w elitarnych fan-klubach, ale i w pamięci wielu mniejszych i większych entuzjastów motoryzacji. Jako bezkompromisowy sportowiec, z objawiającym się podczas wyprzedzania prestiżem, który posłusznych Transylwańczyków natychmiast sprowadza na prawy pas autostrady. Któż bowiem chętnie ma na karku wampira?

Jego pan, który jednocześnie stał się jego ofiarą, podróżuje w małej, czarnej jak noc jamie, zwanej wnętrzem. Ciasnej, ciemnej, przylegającej do ciała.

Aktor drugoplanowy

Wielokrotnie dziennikarze poruszając temat rajdów koncentrują się przede wszystkim na sprzęcie, jakiego używają kierowcy rajdowi. Tym razem chciałbym pokazać ten sport z nieco innej strony. Podczas wyścigu wiele zależy od umiejętności nie tyle samego kierowcy, co tej drugiej osoby, która zasiada na prawym fotelu rajdowej maszyny, a mianowicie - pilota.

ca 7 000 obr./min. A dzieje się to tak szybko, że przyspieszanie RX-7 brzmi jak dzwonięcie dziecięcej zabawki: gaz, gong, gaz, gong, gaz, gong.

Wampir z Wanklem wydaje się wchodzić na wysokie obroty tak szybko, jak żaden inny samochód. To jest ukąszenie, które uzależnia. Czysto sportowy charakter – tego RX-7 ma pod dostatkiem. Układ kierowniczy celuje zawsze dokładnie tam, gdzie go kierujesz. Nie wybacza ani jednego chybionego milimetra, co jest szczególnie denerwujące wtedy, gdy tylne koła znów stoczą przegraną walkę z mokłą jezdnią. ASR? Zapomnij, musisz to mieć w stopie. Z RX-7 wydobywa się czysta moc. Komfort jazdy odpowiada mniej więcej komfortowi tapicerki. Na zły nawierzchni to sportowe urządzenie trzęsie się i skręca jak wampir na kuracji odwykowej. Musiałby mieć wewnątrz klatkę bezpieczeństwa. RX-7 jest po prostu lekki: 1320 kg, spartański jak Porsche 911, ale z włoskim wykończeniem.

Ofiary wampira wybaczyłyby mu jeszcze te wstrząsy, podobnie jak bagażnik wielkości szuflady, który idzie w zawody z Alfą Spider. Ale to pragnienie? Nie do usprawiedliwienia. RX-7 pije bez umiaru. Lekko 16 litrów, chętnie także 20, gdy zakosztuje się zabawy z gongiem. Przyczyniają się do tego wąskie komory spalania, a także duże straty ciepła na rozwiniętych powierzchniach pracy cylindra.

Nawet najbardziej uzależniona ofiara nie może swobodnie rozkoszować się Mazdą RX-7. Po pierwsze, ponieważ na autostradzie Wankel co 300 km wymaga wizyty na stacji benzynowej. Po drugie, dlatego, że także sportowo nastawieni kierowcy myślą o ochronie środowiska i nie zawsze są bezkrytycznymi fanami urządzeń zużywających paliwo ponad miarę. I po trzecie, ponieważ muszą jeszcze zapłacić za benzynę. Dlatego w 1997 roku wampirowi zagroził wschód słońca. Miał zniknąć, stał się za drogi, także w produkcji. Ford, nowy szef Mazdy, obiecał nie wbijać Wanklowi ostatecznie kołka w serce. Podjęto prace nad mniejszym, tańszym modelem z większą ilością części z produkcji wielkoseryjnej. Wankle kłają nadal. Ale już nigdy nie tak ostro jak w RX-7. Ten samochód jest niesamowity, po prostu należy go poczuć, a jazda... tego nie da się opisać. Mazda RX7 jest pojazdem typowym dla mężczyzn, ale ja jako kobieta powiem krótko: „Dziewczyny za kierownicę, nie pożałujecie”. Niestety polskie drogi nie są najlepsze na jazdę tym cudem.

Marta Radochońska

Wiadomo, że laury zawsze zbiera kierowca, to on jest podawany we wszelkich klasyfikacjach, że zdobył tytuł mistrzowski, a pilot pozostaje w jego cieniu. Ale czy aby tak powinno być? Przecież wkład pilota w zwycięstwo jest porównywalny, bo cóż by znaczył kierowca bez swego niezastąpionego pilota. Podczas rajdu kierowca praktycznie milczy, a pilot niemalże przez cały czas dyktuje kierowcy kolejne etapy trasy. W wyścigach Formuły 1 za kierownicą zasiada tylko kierowca i ma jedno parokilometrowe okrążenie, kilka zakrętów w prawo, kilka w lewo i jest w stanie nauczyć się doskonale przebiegu toru na pamięć. Zupełnie inaczej sytuacja się ma w rajdach samochodowych. Tu samochody ścigają się na otwartych przestrzeniach, gdzie odcinki są długie i rozgrywane na drogach górskich, leśnych, a czasem nawet polnych. W takich warunkach kierowca nie jest w stanie zapamiętać układu trasy. Dlatego właśnie tak ważną rolę



Tomasz Czopik

odgrywa pilot. Jego główne i najważniejsze zadanie polega na tym, że musi on zapoznać się z trasą i przygotować jej dokładny opis. Podobno, gdyby wykonać zdjęcie satelitarne trasy i przyłożyć je do opisu przygotowanego przez pilota, to okazałoby się, że idealnie się pokrywają! Każda załoga ma czas, by poznać przebieg odcinków specjalnych, może przejechać trasę kilka razy, by jak najlepiej zapamiętać wszystkie szczegóły.

Opisywanie odcinka polega na tym, że kierowca przejeżdża trasę bardzo wolno, a pilot ocenia możliwość pokonywania zakrętów oraz ułożenia drogi, to znaczy: zjazdów, podjazdów i długość prostych. Dokonuje tego na specjalnych

notatkach nawigacyjnych, dostarczonych przez organizatorów rajdu. Wszystkie informacje dla zwykłego zjadacza chleba mogą być niezrozumiałe, gdyż są podane za pomocą specjalnych oznaczeń i sym-



Maciej Wisławski

boli. Przykładowo, jak myślicie co może oznaczać litera „Y” albo „T”? Są to po prostu oznaczenia skrzyżowań, które swoim kształtem przypominają wyżej wymienione litery. Oczywiście, prawda? Nicco bardziej komplikuje się sytuacja przy oznaczeniu zakrętów. Za pomocą cyfr od 1 do 5 wyrażony jest kąt krzywizny zakrętu. I tak pilot daje „jedyneczkę” przy zakręcie bardzo ciasnym, w który trzeba wejść zaciągając hamulec ręczny, zarzucając mocno autem i dopiero skręcając. Zakręt numer 2 to długie, ciągnące się nawroty. „Trójka” to zakręty, pod kątem prostym. Numer cztery i pięć zarezerwowany jest dla łagodnych łuków.

Po testowym przejeździe kierowca już wie, że kiedy usłyszysz od swojego pilota: „pięć” to może jechać na tak zwanym „pełnym gazie” albo jak kto woli „ile fabryka dała”, ale już „1”, nie da się pokonać przy prędkości większej niż 20-30km/h. Tak więc, to oznaczenie cyfrowe narzuca maksymalną prędkość pokonywania zakrętu. Obecność pilota w samochodzie rajdowym jest konieczna i to nie podlega dyskusji, ale nie rozumiem dlaczego są postaciami drugoplanowymi, w tym sensie, że są mniej znani, czy też mniej popularni. Parafrazując znany zwrot można by rzec, że kierowca jest głową, ale głowa musi spoczywać na karku, którym w naszej sytuacji jest pilot.

Daniel Płatek

Po godzinach

Słoń

Poniższe opowiadanko powstało jako produkt rozkładu rzeczywistości, który to z kolei rozkład był produktem zachwiania równowagi wszechświata.
- RomeoKnight

- Przepraszam, którądy na Grunwald?...

Odwrociłem się w stronę, z której dotarły do mnie te słowa. Kilka kroków przed sobą zobaczyłem wielgachnego słonia, słonia koloru standardowo szarego, machającego nerwowo swym przykurczonym i funkcjonalnie zupełnie zbędnym ogonkiem. Jego trąba niemal mimowolnie ułożyła się w kształt pytajnika.

- Słoniu, po co chcesz iść na Grunwald? Przecież słonie powinny iść na wschód!

- Tak myślisz?... Huh...! - słoń wyraźnie przejął się zasłyszana odpowiedzią. Podumał przez chwilę, po czym odparł: - W takim razie w porządku, ja pójdę na wschód, a ty na Grunwald.

- Na Grunwald? Ja?! A po ciężkiego smerfa mam iść na Grunwald?!

- Ano... Bo wyglądasz mi na Knight'a.

W tym momencie dopadły mnie problemy natury egzystencjalnej... Kim ja właściwie jestem i co ja tu robię? I kim jest do licha ten słoń, a może raczej - skąd się tu wziął?... Jakie to wszystko dziwne. Nie mogę sobie przypomnieć co robiłem, zanim się pojawiłem w tym miejscu, zanim przemówił do mnie ten słoń...

- To jak, idziemy? O, tam za tobą nawet leży zbroja... - zauważyło nieco znudzone przyglądaniem się memu milczeniu słonisko.

- Zbroja? - odwróciłem się, no i faktycznie... Była tam. A po chwili była już nawet tu, czyli na mnie. I wszystko byłoby ok, gdyby nie to, że nie mogłem się w niej ruszać... Była jakby ciut przyćmiewka. Tylko ciut...

- A więc gdzie jest ten Grunwald?... - powtórzył się słoń.

Nie wiedziałem jak mu pomóc, ba! Nie wiedziałem nawet jak w tej chwili pomóc sobie a'propos zbroi. I pewnie bym tak nie wiedział do tej pory, gdyby nie instykt macierzyński, który kazał spojrzeć mi na dróżkę. Nie sposób było nie zauważyć obok niej białego znaku, który grubym czarnymi drukowanym literami na białym tle głosił: „GRUNWALD - 80 KM”. Słoń podążył za moim wzrokiem i tym samym już po chwili mógł dać dowód swojej postrzegawczości, będąc tym, który jako pierwszy zauważył wschód słońca. A słoneczko wschodziło dokładnie w tym miejscu, gdzie na horyzoncie niknęła dróżka, obok której stał wcześniej wspomniany znak.

- To idziemy! - krzyknął radośnie słoń, i nie zważając na moje protesty, chwycił mnie w pół swą trąbą, miarkując zapewne, że nie będę w stanie dotrzymać mu kroku w ciężkiej sytuacji w jakiej się znalazłem, po czym zaczął

gnać klusem przed siebie unosząc mnie ze sobą zawiniętego w trąbę.

Było późne popołudnie, gdy dotarliśmy na miejsce. Słoń rozejrzał się dookoła, a ja poszedłem w jego ślady, oczywiście w miarę moich skromnych możliwości ruchowych.

- I co teraz? - zapytał mnie, uprzednio podniósłszy sonika.



Rys. Małgorzata Ptak

bie przed oczy mą uwięzioną w zbroi postać i zerknąwszy przez szyszak do jej środka.

Nie odpowiedziałem. I to nawet nie była wina tego, że nie specjalnie wiedziałem co odpowiedzieć. W tej chwili po prostu przeżywałem szok, na co niewiele mogłem poradzić. Miałem w czasie drogi dość czasu na rozmyślenia i przypomnianie sobie tego, co działo się przed moim pojawieniem się w tej krainie. I właśnie teraz, tu, w Grunwaldzie, doznałem olśnienia - przypominało mi się, że jadłem pierogi! Tak, byłem w domu miałem włączony telewizor... A tu nagle wszędzie dookoła światło, oślepiające światło, i lup!!! Jak nie pierdutnie *TAAAKI* latający spodek w środek chałupy, i jak nagle *TAAAKI* ufol wielgachny z niego nie wylezie... Właśnie pod wpływem tych wspomnień przeżywałem tą scenkę po raz kolejny na jawie, dostałem drgawek, zacząłem toczyć pianę z pyska... I nagle trach!!! Wszystko się urwało, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z gniazdka sieciowego. W tym samym momencie usłyszałem głos.

- Widzisz słoniu, mówiłem ci, że to urządzonek długo nie pochodzi, bo elektrolit z niego wycieka...

Oniemiałem. Posłuchałem jeszcze chwilę, aż usłyszałem jak tajemniczy nieznamy w końcu się oddala...

- O, ty żyjesz? - zdziwił się słoń zaglądając do środka zbroi przez otwory w szyszaku. Jeszcze pięć minut temu...

- Jeszcze pięć minut temu chciałeś mnie sprzedać jako wibrator Iosiu!!! - nie wytrzymałem, wybuchłem, a do tego znowu się spieniłem, wytaczając na zewnątrz kolejną porcję rzekomego „elektrolitu” z rzekomych „baterii”...

- Spokojnie, tak bardzo się trzęsłeś z godzinę chyba, iż myślałem, że już pożytku żadnego z ciebie nie będzie... Huh. - słoń był wyraźnie zakłopotany zaistniałą sytuacją. - A wiesz jaką korzyść mogłeś jeszcze oddać robiąc jako wibrator w młynie na sitach na przykład - przyczyniłbyś się do pożytecznego i uświęconego od góry do dołu wspaniałego dzieła, jakim jest przygotowywanie chleba naszego powszedniego...

- Słoń, ty się naćpałeś?! - zacząłem się zastanawiać, czy w związku z tym nie byłoby bezpieczniej, gdyby odstawił mnie w końcu na ziemię. Niestety, temat ten już nie mógł zostać dokończony, bo mniej więcej w tym samym momencie do uszu moich i słonia dobiegł tętent końskich kopyt. Nacierafa na nas husaria.

- Ratuj, ratuj, eee... Jak ty się właściwie nazywasz? - słoń jak zwykle nie miał wyczucia chwili. Jego wątpliwości zostały przerwane, gdy się okazało, że z drugiej strony też ktoś na nas wali na całym stadzie koni, może nawet nie tyle jednym, co kilku stadach... Słoń z mą skromną osobą trzymaną w trąbie, ubraną zresztą w zbroję - a może raczej w niej uwięzioną - a więc tak czy inaczej on i ja staliśmy sobie na samym środku polany, na którą z dwóch stron nacierały na siebie dwie armie. Już, już miała się odbyć rzeź z naszym udziałem w roli głównej, gdy nagle nawałnica z obu stron zatrzymała się. - Stać, staaaa! Usłyszeliśmy dookoła gromkie wołania. Zamarliśmy przez chwilę w osłupieniu, czekając na to, co ma się wkrótce wydarzyć i obserwując dwie ściany jeźdźców które nas otoczyły. Chwila ta dłużyla się niemiłosiernie, nawet już zaczęliśmy się zastanawiać, czy może by tu nie pograć w karty w międzyczasie, gdy nagle ktoś wśród jeźdźców krzyknął: - Nie, nie będziemy się tu bić! Tu stoi jakiś słoń! Zmiana planów - będziemy się bić *POD* Grunwaldem!!!

- Mało brakowało - powiedział słoń, patrząc na odjeżdżających gdzieś w dół mapy rycerzy, po czym zapytał: - I co teraz?

Kiedy padło to pytanie, moim ciałem na powrót poczęły targać drgawki... Naprawdę niesamowite, jak realne wizje horroru z ufolem w roli głównej generował mój mózg. A jakie straszne to było... Wytelepałem się za wszystkie czasy. Kiedy już atak przeszedł, równie gwałtownie jak się zaczął, usłyszałem coś, w co nie mogłem uwierzyć...

- To mówisz słoniu, że owo urządzonek jest już zreperowane i nic z niego nie wycieka?

Tu moja cierpliwość się skończyła, a jednocześnie za-

częła się frustracja spowodowana nieoczekiwanym mrokiem, jaki zastałem po powrocie do rzeczywistego świata. Wstrętne słonisko pozatykało wszystkie otwory w zbroi, co by nic nie ciekło i znowu próbowało mnie opylić jako wibrator...

- Chyba mam deja vu - odezwałem się w końcu do siedzącego na trawie słonia na którego obliczu malowała się wyjątkowo skruszona mina.

- To chyba nie ten film... - zauważył rezolutnie słoń. - I co teraz? - Zapytał po chwili.

- A teraz musimy pomyśleć o sobie. Wracamy skąd przyszliśmy, może tam znajdziemy sposób na powrót do domu...

Byliśmy już w połowie drogi powrotnej. Rzecz ciekawa, od samego rana nie zmieniłem sposobu podróżowania, cały czas bez sensu zamknięty w tej cholernej puszcze po konserwach, umownie nazywanej zbroją. Wszystko odbywało się normalnie, aż do momentu, w którym na naszej drodze, niczym z podziemi wyrosła wielka, kamienna wieża.

- Blurp?! - zauważył inteligentnie słoń, gdy tylko dostrzegł owo zjawisko. - Ke?! - zawtórowałem mu.

- I co teraz zrobimy? - zapytał słoń.

- No jak to co... Obejdziemy to coś dookoła - odpowiedziałem, i w tym samym momencie usłyszeliśmy ciche kobiece nawoływanie z samego środka wieży.

- Tam jest jakaś niewiasta! Azali nam rycerski obowiązek życie jej ocalić - wyskoczył z własną inicjatywą słoń, i nim zdążyłem zaprotestować, przywalił w ścianę wieży tym co miał najbliżej trąby, czyli krótko mówiąc - mną. Gdy się ocknąłem w pogiętej z lekka zbroi, zaradne słonisko kończyło właśnie podkop pod wieżę.

- Kto by pomyślał... Takie grube ściany - rzucił mimochodem, niejako na usprawiedliwienie. Praca szła mu niezłe, przez co już po chwili ujrzelśmy wyłaniającą się spod wieży cud piękność, w osobie wspaniałej księżniczki.

- Kha, kha... Dzięki Wam, o dzielni rycerze... Sama nie wiem co się stało, nagle zamurowało wszystkie drzwi i okna! - te oto pierwsze słowa wypowiedziane przez księżniczkę uświadomiły mi, jak łatwo zostać rycerzem w dzisiejszych czasach, a za punkt odniesienia swych rozważań obrałem postać słonia. Me filozoficzne rozmyślenia przerwało uświadomienie sobie, że znajduję się w stanie tzw. „głębokiego olśnienia”.

- Hej, no co z Wami, chłopcy? - zapytała księżniczka. Jak widać, słoń również podzielił ze mną ten błogi stan.

Po piętnastu minutach zdecydowałem się przełamać i coś z siebie wydobyć, żeby tylko zakończyć to niewygodne milczenie.

- Cześć... - powiedziałem jakoś tak bez specjalnego polotu.

- No, nareszcie! - ucieszyła się księżniczka. - Powiedźcie mi proszę, dokąd idziecie chłopaki?

- Do miejsca skąd przyszliśmy, chcemy wrócić do domu i zakończyć tę historijkę...

- Co?! - krzyknęła księżniczka. - Nie zgadzam się!!! To nie jest sprawiedliwe! Mam tu zaledwie trzecioplanową rolę, a Wy skubańcy od początku byliście na pierwszym planie! - głos księżniczki zdradzał pewne rozczarowanie.

- ... - odpowiedzieliśmy zgodnie, ja i słoń.

Zaprosiliśmy w końcu to anielskie stworzenie, by towarzyszyło nam w podróży, jako że podróż była dla nas jedyną szansą na powrót do domu, a jednocześnie szansą na przeżycie jeszcze jakiejś przygody satysfakcjonującej księżniczkę. Nie musieliśmy długo czekać - wkrótce dostrzegliśmy przed sobą sporą grupkę ludzi. Jak się okazało, była to demonstracja pacyfistów.

- Ratuunku! - usłyszeliśmy nagle głos księżniczki dobiegający z tłumu. Reakcja słonia na takie wypadki jak zawsze była bezbłędna. Już po chwili moja zbroja miała odrobinę więcej wgniecen, ale księżniczka została ocalona z rąk nie wiedzą-



Fot. Jakub Macioł

cych pewnie do dzisiaj co się im przytrafiło pacyfistów. Akcja ratunkowa była szybka... Musiała być szybka, bo chwilę potem księżniczka znalazła się w kolejnej opresji. Po godzinie takiego „ratowania” owej damy i obiciu nieprzeliczonej ilości przypadkowych agresorów dybiących na życie księżniczki, którzy to często do tej pory pewnie nie wiedzą, że do takowych należeli, daliśmy za wygraną i zwyczajnie sobie poszliśmy. Widać refleks zawiódł księżniczkę tym razem, bo dopiero po dłuższym czasie dostrzeżliśmy mgiełkę kurzu pędzącą w oddali za nami, wołającą: - Hej!!! Stooop! A co ze mną?! Ja muszę występować w tej historyjce!!!

- Zeusie, ty widzisz i nie grzmisz... - mruknął słoń i w tym samym momencie piorun z jasnego nieba uderzył w pędzącą za nami mgiełkę kurzu, uciszając ją definitywnie i nieodwracalnie.

- Jesteśmy Knight'cie. - powiedział słoń, gdy dotarliśmy do miejsca w którym rozpoczęła się nasza przygoda. - Co teraz?

Odruchowo sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem z niej jakieś nasionko. Wrzuciłem je do ziemi i zacząłem czarować... No co, no co?! Mielibyście lepszy pomysł?...

- Patrz, patrz! - krzyknął podekscytowany słoń. Faktycznie, było się czym ekscytować. Z nasionka wyrosła ogromniasta roślina o wielkim pąku, który po chwili pękł i wypadła z niego śliczna, cudowna, urocza, wspaniała, przepiękna, przesympatyczna [no dobra już, dobra, wszyscy wiedzą o co chodzi - przyp. Słoń] Ok, po prostu wypadł z kwiatu pąka prawdziwy anioł.

- Witajcie - powiedziała przecudowna, nieziemska istota. - Jestem tu, by pomóc wam się wydostać z tej chorej historyjki - powiedziała patrząc na mnie i na słońca swym niesamowitym spojrzeniem. - ...i aby odegrać w niej kluczową rolę, pierwszoplanową rolę - dodała.

- Yyyy?!... - razem ze słońciem nie mogliśmy powstrzymać okrzyku zawodu.

- Żartowałam - powiedziała nagle i uśmiechnęła się.

- Ufff! - obaj ze słońciem poczuliśmy tę samą ulgę.

- To jak już mamy skończyć, to ja może zdejmę tę nieszczęsną zbroję - powiedziałem, i jak też powiedziałem tak też zrobiłem, a nie ukrywam, nie przyszło mi to łatwo, nawet z pomocą słońca, taka była powyginana.

- Właż na słońca - poinstruowała mnie... Yyyy.. No właśnie, jak ona się nazywała?

- Nel. Mów na mnie Nel, mój ty Stasiu! - odpowiedziała, gdy już siedzieliśmy na słońcu. - A teraz na zachód! Poinstruowała słońca. Idziemy na zachód!

I tak oto Nel i Staś odjechali na słońcu, ku zachodzącemu na horyzoncie słońcu...

A potem żyli długo i szczęśliwie, i mieli dużo dzieci.

Z życia studenta Iksińskiego

Akademik, siódma rano,
Poniedziałek, znów to samo...
Boję się podejść do lustra,
A lodówka prawie pusta.
Zaraz parzę dużą kawę,
Na śniadanie lekką strawę,
Jedna bułka lub parówka...
Ojej... jak mnie boli główka!

Potrzebuję w mig pomocy,
Nie przespałem całej nocy.
Czwarte piętro tak huczało,
Bo imprezę urządzało.

Przyszli kumple, ja się śmieję,
Pytam prędko co się dzieje?
Mają niewyraźne miny,
Bo uciekły im dziewczyny.

Wczoraj sobie wywróżyły,
Że za długo z nimi były.
Dodatkowo zrozumiały,
Że z tych związków nic nie miały.

„Głupia sprawa” - mówię do nich,
„Aj, już późno, czas mnie goni.”
Chwytam plecak, nocny już widzę...
... tego właśnie nienawidzę!!!

Biegnę szybko co sił w nogach,
Potrafiłem gdzieś przechodnia,
Przeprosiłem, przyspieszyłem,
Jeszcze kroczek.... - UFF, zdążyłem!

No więc jadę na wykłady,
Ruszyć ręką nie dam rady:
Tłoczno, duszno, bardzo ciasno,
Korki, ruch - to moje miasto :)

Okey, jestem, pełna sala,
Siadam z boku, byle z dala,
Wykład trwa już chyba wieki,
Opadają mi powieki...

„Ach sen, sen dla ludzi...
proszę niech mnie nikt nie budzi.”
Nagle słychać głos z mównicy:
„Pan Iksiński - do tablicy!”

Butterfly

24.04.2001
RomeoKnight

Po godzinach

„Zawiany” niedźwiedź idzie wieczorem przez las. Nagle potyka się o konar i wybija sobie przednie zęby. Obawiając się, że ktoś go zobaczy schował się w krzakach. Pech chciał, że za chwilę przechodził obok leśniczy. Usłyszał, że coś się poruszyło w krzakach, naprowadził światło latarki w krzaki, świecąc niedźwiedziowi po oczach i pyta: -Kto tam?

Z krzaków wychodzi niedźwiedź mrużąc oczy i odpowiada:

-Nieśfiec.

• • • • •

Pewnej nocy złodziej włamuje się do pustego mieszkania. Szpera po ciemku, przerzuca rzeczy w komody szukając pieniędzy aż tu nagle słyszy:

- Jezus cię widzi...

Zapała światło rozgląda się po pokoju. Nikogo nie ma. Dalej przerzuca rzeczy.

- Jezus cię widzi...

- Co u licha?! - rozgląda się dokładnie, a tu papuga w klatce.

- Te papuga, to ty mówiłaś?

- Ja.

- A jak masz na imię?

- Nepumenozenia - Nepu... co? Głupie imię jak dla papugi.

- Jezus też głupie jak dla rotwailera.

• • • • •

- Dlaczego blondynkom nie przysługuje przerwa na kawę w pracy?

- Ponieważ jest to nieopłacalne. Po przerwie trzeba je ponownie przyuczyć do zawodu...

• • • • •

- Czemu blondynka cieszy się, że ułożyła układankę puzzle w 4 miesiące?

- Ponieważ na pudełku napisano: „Od 2 do 5 lat”!

• • • • •

- Jak spowodować, by oczy blondynki zaświeły blaskiem?

- Zaświecić latarką w ucho.

• • • • •

Profesor zdegustowany stanem wiedzy studenta, otworzył drzwi i zwrócił się do oczekujących na egzamin:

- Przynieście siano dla osła!

- A ja herbatę poproszę - dodał egzaminowany.

Stoją dwie blondynki przy windzie jedna mówi:

- Zawołaj windę!

Blondynka woła:

- Winda, winda!!!

Druga blondynka mówi:

- Nie tak, przez guzik!

Blondynka łapie swój guzik od bluzki i mówi:

- Winda, winda!!!

• • • • •

Przeczytaj poniższe wyrazy głośno i wyraźnie:

To jest w kocie

To jest ten kot

To jest sposób na kota

To jest każdy kot

Ten kot ma łapy

Kot ma pół łapy

Za pół minuty kot

Kot ma zajęcia jutro

A teraz przeczytaj tylko trzeci wyraz z każdej linijki.

• • • • •

- Jak nazwać szkielet blondynki stojący w szafie?

- Mistrzynie zeszłorocznej zabawy w chowanego...

• • • • •

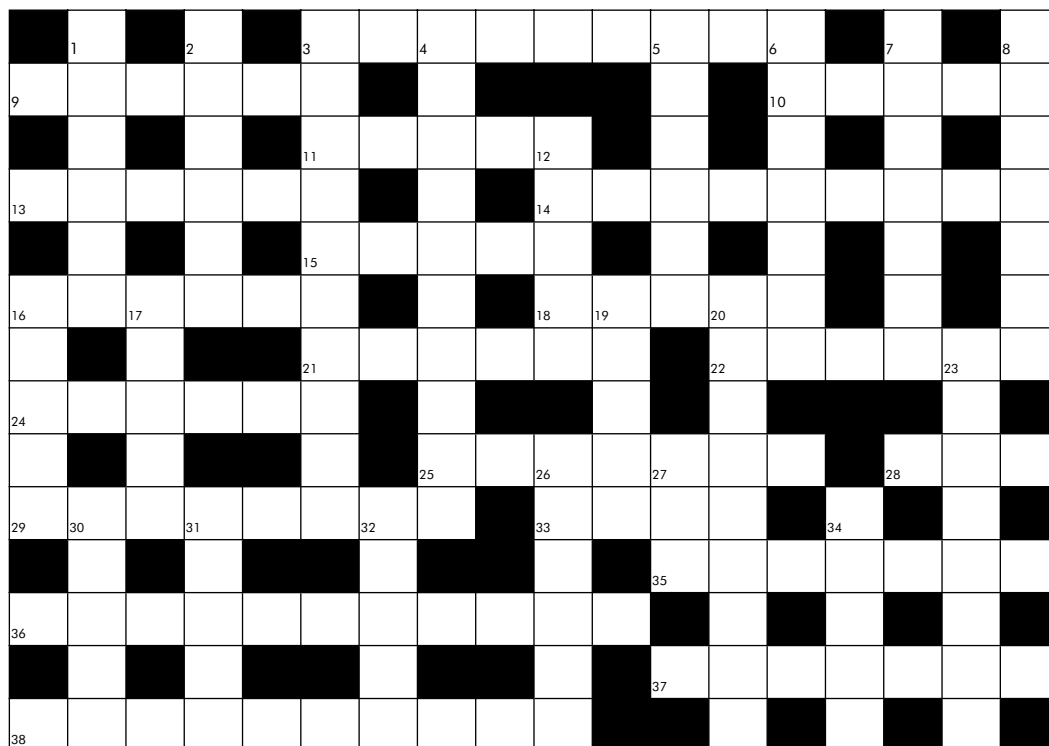
- Dlaczego blondynka zakłada torbę foliową na głowę?

- Bo chce wystąpić w reklamówce.



Po godzinach

KRZYŻÓWKA



POZIOMO

- 3) pod licznikiem
- 9) kraj Ameryki Łacińskiej
- 10) umowa, porozumienie
- 11) koc do nakrywania koni
- 13) egzamin dojrzałości
- 14) stan uczuć związany ze smutkiem
- 15) kolega pszczołki Maji
- 16) sofa, leżanka
- 18) pokrywka od beczki
- 21) zwierze padlinożerne
- 22) poczet, świta
- 24) wystrzelony z pistoletu
- 25) kraj kwitnącej wiśni
- 28) jeden z wybielaczy
- 29) kobieta wykonująca jakąś czynność nie zawodowo
- 33) dzielnica Warszawy
- 35) atrybut murarza
- 36) kobieta popierająca chaos panujący w kraju związany z władzą
- 37) mieszkaniec Paryża
- 38) kraj w Azji ze stolicą w Alma-Acie

PIONOWO

- 1) kraj ze stolicą w Ottawie
- 2) jeden z typów Renault'a
- 3) wyspiarskie państwo w Afryce Płd.
- 4) wzrost wartości pieniądza
- 5) imię Mandeli
- 6) przydzielany sądowo opiekun nieletniego przestępcy
- 7) Jan, XVI-wieczny polski kronikarz
- 8) część stłuczonego lustra
- 12) jedna z elektrod
- 16) nie oryginał
- 17) naród
- 19) ... John brytyjski piosenkarz
- 20) pan w czarnym ubraniu wyciorem w rękę
- 23) miejsce składowania starych dokumentów
- 26) na nogach bramkarza hokejowego
- 27) Najwyższa Izba Kontroli
- 30) notoryczne przyzwyczajenie do robienia czegoś
- 31) do ucierania owoców
- 32) noszony przez panie na uchu
- 34) np. algi morskie

Opracowanie:
Paweł Frankiewicz